



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Binek

## Ostatnie dni na Górnym Śląsku

Świadectwo szkoły podstawowej \* Zasłużone wakacje \* Groźba wojny \* Ucieczka

W połowie czerwca 1939 odbyła się w Katowicach olimpiada, sprawdzian testowy dla kandydatów do szkół gimnazjalnych w województwie. Wziąłem w niej udział. Sprawdzian polegał na tym, że każdy uczestnik otrzymał kilkunastostronicowy test z różnymi zadaniami, które w określonym czasie, bodaj jednej godziny, należało rozwiązać. Były tam jakieś szeregi cyfr i znaków do uzupełnienia, zadania matematyczne do rozwiązania, pytania z kilkoma odpowiedziami, z których należało wybrać właściwe, oraz różne zadania tekstowe. Siedzieliśmy w dużej sali, każdy z nas miał oddzielny mały stolik. Nie można więc było podpatrywać odpowiedzi u kolegów.

Zadania te nie sprawiały mi większych trudności i rozwiązałem je przed czasem. Oddałem pierwszy testy komisji przy stoliku i wyszedłem z sali. Z trudem przepychałem się przez tłumek rodziców i starszego rodzeństwa olimpijczyków, wypytyjących mnie, jakie były tematy zadań. Mnie towarzyszył ojciec jedynie przy przyjeździe na olimpiadę, zaś sam wracałem tramwajem do Łagiewnik.

W dniu 21 czerwca otrzymałem świadectwo ukończenia szóstej klasy szkoły podstawowej, ostatecznie jakiś znaczący kawałek życia. Tylko dwa stopnie dobre z zajęć praktycznych i gimnastyka, reszta bardzo dobre. Dopiero po kilku dniach mama powiedziała mi, że uzyskałem w olimpiadzie najwyższą punktację. Miało to prawdopodobnie jakiś wpływ na zwolnienie mnie z licznych przedmiotów przy egzaminie wstępnym do gimnazjum w Chorzowie, który zdawałem w ostatnich dniach czerwca. Również i ten egzamin zdałem raczej bez większego trudu. A więc mogłem się czuć gimnazjalistą. Chyba nieźle zasłużyłem na dobre wakacje.

Wakacje 1939 były bardzo piękne. Jak zwykle przebywałem wraz z siostrą u cici Stasi na wsi w Kuźnicy Bobrowskiej. Utkwiła mi w pamięci z tych ferii bardzo gwałtowna burza z piorunami, którą potem w dramatyczny sposób opisałem w jakimś wypracowaniu szkolnym. Widziałem też autentyczne tornado. Trąba powietrzna sięgała do chmur, porywając do góry kolejne stogi siana i wędrując po nieodległych polach.

Zginął mój ulubiony kotek Mrczuś, podcięty kosą podczas żniw. Przybył na krótki urlop kuzyn Franek w stopniu porucznika. Uczyłem się tańczyć w ogródku przy dźwiękach patefonu, jaki po raz pierwszy w życiu widziałem i jaki bardzo chętnie obsługiwałem i kręciłem korbką, gdy starsi ode mnie tańczyli i bawili się wesoło. Bryłowała zwłaszcza moja siostra oraz porucznik Franek.

Brałem udział w ćwiczeniach związanych z użyciem masek przeciwgazowych, które odbywały się na placu przed kościołem dla miejscowej ludności i młodzieży. Wysłuchałem również instrukcji, jak pas-

kami papieru zaklejać szyby w oknach, aby uchronić je przed skutkami eksplozji. Na placu prowadzona też była zbiórka pieniędzy na zakup karabinu maszynowego dla wojska. Z rozmów zaś mych krewnych i znajomych wyczuwało się już wyraźną groźbę nadciągającej wojny.

Z wiejskich wakacji wróciliśmy jakoś wcześniej niż w poprzednich latach. Wszędzie w Łagiewnikach były porozwieszane plakaty z napisami „Do broni!”, „Silni, zwarci, gotowi!”, z marszałkiem Rydzem-Śmigłym na tle eskadr samolotów itp.

Natomiast radio i gazety apelowały do społeczeństwa o udział w Pożyczce Obrony Przeciwlotniczej, rozpisanej przez rząd polski w marcu, celem uzyskania środków pieniężnych na produkcję samolotów i dział przeciwlotniczych. Wykup obligacji pożyczki przyniósł faktycznie bogaty plon w postaci kilkuset milionów złotych. Moi rodzice także wpłacili jakąś sporą kwotę, otrzymując w zamian duże, ładne blankiety, podobne do banknotów; przechowywali je potem przez dziesiątki lat na pamiętkę.

Matka powróciła właśnie z województwa tarnopolskiego, gdzie finansowała ostatnie zakupy majątkowe. Ojciec nie mógł jej towarzyszyć, gdyż w Straży Granicznej tego pięknego lata trwało pogotowie wojskowe i nie udzielano urlopów funkcjonariuszom. Był podniecony i zabiegany w pracy jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

Pracując w Straży Granicznej oraz w Wywiadzie Wojskowym, znał doskonale sytuację i przygotowania wojenne czynione na Śląsku niemieckim. Mówił o koncentracji wojsk pancernych w lasach, o szerokim szkoleniu Ślązaków niemieckich do działań dywersyjnych, o przenikaniu przez granicę tychże dywersantów, wyposażonych w broń i środki łączności. Szczegółowe meldunki słał do centrali w Katowicach, ale spotykały go za to tylko różne reprimendy i połajania za defetyzm. Oficjalne władze faktycznie chyba nie dopuszczały myśli o możliwym bliskim konflikcie z Niemcami.

Mimo ciągłego wzrostu napięcia w Gdańsku i prowadzenia coraz ostrzejszej kampanii przeciwpolskiej w Niemczech – strona polska starała się tuszować konflikty i znosiła cierpliwie różne antypolskie prowokacje. Rząd Polski bowiem uparcie starał się realizować politykę „zbliżenia z Niemcami”, zainaugurowaną przez Piłsudskiego w 1934 dwustronnym paktem o nieagresji. Swą wolę kompromisu i utrzymania przyjaźni z hitlerowską Rzeszą akcentowano zwłaszcza przez wzmoczoną propagandę antyradziecką.

Pod wielkimi tytułami typu „Kolos na glinianych nogach!” gazety opisywały słabość i rozkład armii i gospodarki Rosji. Artykułom tym towarzyszyły różnego rodzaju karykatury, z których najczęstszą był rysunek białego niedźwiedzia, oblepionego plastrami i wspierającego się na szczudłach. Ja sam kupiłem sobie spory obrazek z rysunkiem świni, na którym, gdy patrzyło się nań nieco z boku, pokazywał się portret Stalina. Oczywiście żadnych tego typu karykatur Hitlera wtedy nie było.

Wręcz przeciwnie, dość szeroko okazywany był podziw i pochwała Niemiec w ogóle, a ustroju faszystowskiego w szczególności. Na przykład w podręczniku mej siostry do nauki języka niemieckiego dla II klasy gimnazjalnej były entuzjastyczne czytanki o dokonaniach III Rzeszy. Okraszano je zdjęciami Hitlera, paradnych marszy Wehrmachtu, budowy autostrad itp.

Była też tego pamiętnego lata wielka moda na różnego rodzaju bale i rauty. Bawiono się wiele i beztrzesko, zwłaszcza w kręgach elitarnych, na szczytach zasobności i władzy. Z konieczności służbowych i moi rodzice chodzili na różne oficjalne bale. Oboje świetnie tańczyli, mama szła sobie modne kreacje i miała zawsze duże powodzenie. Ale ojciec skrycie bardzo złorzeczył na to „balowanie”, jak mawiał, i na beztrzeski marazm i bałagan polski. I konsekwentnie i z determinacją przygotowywał się do naszej ucieczki ze Śląska.

Pod koniec sierpnia byliśmy spakowani i gotowi do wyjazdu. Wpierw w dniu 28 sierpnia rodzice wyeksponowali bagażem kolejowym duży kosz z rzeczami i ubiorami. Następnego dnia mama, siostra i ja, objuczeni kilkoma walizkami, załadowaliśmy się w Katowicach do pociągu osobowego jadącego do Stanisławowa. Przy wsiadaniu do pociągu pomagał nam ojciec, w mundurze i z bronią, gdyż na stacji działały się dantejskie sceny. Pociąg z Poznania przyjechał już pełny, a na stacji czekał jeszcze tłum podróżnych. Mnie, siostrę i walizy ojciec podawał przez okno.

Przedział, do którego weszliśmy, był zajęty przez młodych poborowych z Poznańskiego, jadących do Rzeszowa w ramach zarządzonej w nocy powszechnej mobilizacji wojskowej (odwołanej zresztą tego samego dnia). Zrobili oni miejsce dla mamy, ja siedziałem na jej kolanach, siostra zaś stała w środku przedziału razem z kilkoma innymi pasażerami.

Poborowi śpiewali, zachowywali się niezbyt sympatycznie. W pewnym momencie otworzyli drzwi na korytarz i wciągnęli do środka niskiego, starego Żyda. Przez kilka chwil popychali go między sobą i targali za pejsy, śmiejąc się przy tym i coś wykrzykując. Po czym wypchnęli go z powrotem na korytarz. Inni pasażerowie nic nie mówili, tylko moja mama stanęła w obronie starego człowieka.

Po południu przejeżdżaliśmy przez Tarnów. Widziałem przez okno zburzone skrzydło tarnowskiego dworca kolejowego, zamienione w stertę gruzów, usuwanych przez pracowników kolejowych i żołnierzy. Te zniszczenia, i śmierć kilkunastu osób, spowodowane zostały przez wybuch dużej mocy bomby zegarowej, ukrytej w walizce w przechowalni bagażowej na dworcu. Była to jedna z wielu sabotażowych akcji, przeprowadzonych przez dywersantów niemieckich.

W nocy przesiedliśmy się w Stanisławowie na lokalny pociąg do Monasterzysk. Do celu naszej podróży przyjechalśmy w środę rano 30 sierpnia. W piątek 1 września dowiedzieliśmy się, że w godzinach wczesnorannych Niemcy napadły na Polskę, rozpętując wojnę między obu krajami. Byliśmy przerażeni. Co z ojcem, który pozostał na granicy z karabinem w ręku? Co będzie z nami trojgiem, tutaj, na drugim krańcu Polski?

Dobrym znakiem było to, że 2 września dotarł do nas bagażem kolejowym duży kosz z naszymi rzeczami. Mama już nie liczyła, że go odzyskamy. Uwzględniając walizy, które mieliśmy ze sobą, to właściwie przywiezione zostały ze Śląska na nowe miejsce pobytu prawie wszystkie nasze rzeczy, prócz mebli, garnków i talerzy. Były sztuce, maszyna do szycia, książki, a nawet część pościeli i prawie wszystkie ubrania. Nie miało się bowiem wówczas nazbyt wielu rzeczy. Dziś w takim koszu i walizkach nie zmieściłyby się nawet moje książki.

## Monasterzyska na Kresach

Przyjazd ojca \* Czołgi z czerwoną gwiazdą \* Gimnazjum w Stanisławowie \* Dwie klasy 10-latk

Monasterzyska to kilkunastotysięczne miasteczko na kresach wschodnich, położone około 80 kilometrów od rzeki Zbrucz, ówczesnej granicy Polski i ZSRR. Najbliższym dużym miastem był Stanisławów, leżący po drugiej stronie Dniestru, w odległości około 40 kilometrów.

Przez Monasterzyska przepływa niewielka rzeka Koropiec, na której znajdowało się kilka drewnianych mostów. Największym obiektem w mieście była fabryka tytoniu, położona w centrum, obok placu targowego. Stanowiła ona główne miejsce pracy dla miejscowej ludności i źródło dochodów dla licznych plantatorów tytoniu w całym regionie. Przez miasto przechodziła linia kolejowa od Stanisławowa do granicy i leżało ono na rozwidleniu szosy od granicy ZSRR i Rumunii na Lwów oraz Stanisławów.

Ludność miasteczka, podobnie jak wielu innych w tych granicznych województwach, stanowili w połowie Polacy, resztę zaś Ukraińcy oraz Żydzi. W ogóle południowo-wschodnia Polska była tygłem trzech narodowości: ukraińskiej, polskiej i żydowskiej. Ten podział narodowościowy w znacznym stopniu pokrywał się z podziałem społecznym.

Ukraińcy to byli przede wszystkim chłopci. Polacy zdominowali prawie całą administrację oraz słabo rozwinięty przemysł. Żydzi zaś skupiali w swych rękach praktycznie całe rzemiosło i handel w miastach. Tak było we wschodniej Galicji od ponad stu lat i pod tym względem międzywojenna Polska niewiele się zmieniła.

W mieście mieszkała spora rodzina mej matki. Dziadek miał stosunkowo duże gospodarstwo rolne i był już na emeryturze. Podobnie gospodarował na roli wuj Fredek, ciocia Janka zaś miała sklepik spożywczy, w którym pomagał jej najmłodszy brat Zbyszek. Wujek Henryk aktualnie był w wojsku, podobnie jak Edward, służący ochotniczo w Korpusie Ochrony Pogranicza. Dwoje dalszych rodzeństwa mamy, Waclaw i Aniela, przebywało od dawna poza Monasterzyskami.

Mieliśmy więc solidne oparcie w nowym miejscu przebywania. Zakwaterowaliśmy tymczasem u wujka Fredka. Mama od razu rozpoczęła starania o zamieszkanie we własnym niedużym domku, jaki rodzice nie tak dawno zakupili.

Wygląd, stan gospodarczy, w ogóle poziom cywilizacyjny tych południowo-wschodnich terenów Polski różnił się znacznie na minus od tego, co widziałem i znałem na Górnym Śląsku i w Poznańskim. Przede wszystkim bardzo nędzne były wsie, w których dominowały gęsto zabudowane chaty-lepianki z gliny, kryte słomą. Na roli zaś podstawowymi narzędziami pracy były motyka, sierp i cep. Do pługów zaprzęgano często krowy, gdyż na wynajem czy posiadanie konia mogli sobie pozwolić tylko nieliczni bogatsi chłopci.

W nowym miejscu zamieszkania nie miałem żadnych istotnych zajęć, trochę tylko pomagałem wujowi w pracy w polu. Poza tym wałęsałem się po okolicy.

Gospodarstwo Fredka stanowił budynek mieszkalny, połączony z oborą i stodołą w jedną bryłę na kształt litery „E”. Całość z cegły i drewna, pokryta blachą ocynkowaną. Działka położona była z dala od innych zabudowań, w pobliżu drogi wylotowej z miasteczka w kierunku Podhajec, Brzeżan i Lwowa. Od tej drogi oddzielało nas niewielkie wzniesienie. Otóż na nim, przez kilka dni ciągle upalnego, pięknego września, przy samej drodze, urządziłem sobie punkt obserwacyjny na to, co się na niej dzieje. A działa się w tych dniach wiele ciekawych rzeczy.

Od około 9 września jechały z kierunku Lwowa długie sznury samochodów osobowych. Prawie wszystkie koloru czarnego i obładowane do granic możliwości walizami i tobołami, lokowanymi także na dachach. Jechały nimi rodziny dygnitarzy i wojskowych, głównie z Warszawy i Lwowa, a także ewakuowane instytucje i urzędy centralne. Wszystkie samochody wyjeżdżały z Monasterzysk w kierunku Zaleszczyk na granicy rumuńskiej.

Od 14 września pojawiły się na drodze konne tabory wojskowe. Aut osobowych było coraz mniej, narastała zaś rzeka podwodów, krytych plandekami i prowadzonych przez uzbrojonych żołnierzy. Wozy często zatrzymywały się, gdyż tworzyły się zatory. Wtedy zwykle żołnierze siadali na skarpie przydrożnej, palili papierosy i przewijali onuce. Tabory te świadczyły, że linia frontu zbliżała się nieubłaganie. Faktycznie Niemcy byli już wtedy pod Lwowem, czyli niewiele ponad 120 kilometrów od naszej miejsciny.

W dniu 16 września zdarzyła się rzecz dla mej rodziny bardzo radosna i szczęśliwa. Przyjechał ojciec cały i zdrowy, choć straszliwie umęczony. Przebył w ciągu tego dnia na rowerze trasę z Brodów do Monasterzysk, prawie 120 kilometrów.

Niesamowite były jego losy od naszego rozstania się 29 sierpnia. Otóż już tamtej nocy ojciec stoczył na granicy znaczącą potyczkę z grupą uzbrojonych dywersantów niemieckich. Byli oni ubrani po cywilnemu, każdy zaś z nich uzbrojony był w karabin, czeski pistolet i gumową pałkę z prętem metalowym. Zajęli prawie cały teren Huty Zygmunt, odległej około 500 metrów od granicy. Próbowali też zdobyć placówkę Straży Granicznej, usytuowaną na terenie zakładu.

Kierowana przez ojca 9-osobowa obsada placówki stawiała jednakże skuteczny opór ponad dwie godziny, aż do czasu uzyskania pomocy ze strony kompanii wojska polskiego, kwaterującej akurat w szkole podstawowej w Hubertusie. Wówczas Niemcy wycofali się za granicę, zabierając swych kilkunastu rannych i zabitych. Starcie to skończyło się około godziny trzeciej w środę 30 sierpnia, a więc miało miejsce dwie pełne doby przed otwarciem ognia przez pancernik „Schleswig-Holstein” na Westerplatte w Gdańsku, co uważane jest za początek wojny.

Od wczesnego ranka 1 września placówka graniczna ojca znajdowała się pod ogniem karabinu maszynowego z terenu przygranicznego szybu kopalnianego, zajętego w nocy przez Niemców. Ostatecznie ojciec wraz ze swym zastępcą wycofał się ostatni z bronionej placówki Straży Granicznej nocą z 2 na 3 września.

Kiedy podeszli do zabudowań Łagiewnik, to zostali ostrzelani z karabinów z okien szkoły podstawowej. Natomiast po cofnięciu się w kierunku Hubertusu zostali z kolei ostrzelani przez polską załogę, znajdującego się tam fortu, która sądziła, że są to przebrani w polskie mundury dywersanci niemieccy. Musieli więc przedzierać się przez pola i bezdroża między Lipinami i Świętochłowicami.

Nawiasem mówiąc, po latach moja siostra spotkała we Wrocławiu człowieka, który był dowódcą tego fortu w Hubertusie. Opowiadał jej, jak to odparli atak dywersantów niemieckich na bunkier forteczny. Dopiero od siostry dowiedział się, że strzelali wówczas do Polaków.

Gdy ojciec zjawił się na punkcie koncentracyjnym w Katowicach, koledzy powitali go z radością, bo sądzili, że już nie żyje. Bojówki niemieckie, które opanowały przygraniczne miejscowości na Śląsku, miały przygotowane listy proskrypcyjne byłych powstańców śląskich, wojskowych, funkcjonariuszy Straży Granicznej itp. Wszystkich aresztowano i rozstrzelano na miejscu. Tak było w Łagiewnikach, Cieszynie i wielu innych miejscowościach już w pierwszym dniu wojny.

W Katowicach ojciec wraz z innymi swymi kolegami włączony został do regularnej jednostki wojskowej, która zaczęła się wycofywać zaraz do Krakowa, po czym zajmowała kolejne pozycje obronne aż do Brodów na wschodnich kresach Polski. Wyglądało to tak, że gdy tylko oddział umocnił się na jakiejś linii, wkrótce przychodziła wiadomość o zbliżaniu się czołgów niemieckich i rozkaz wycofania się do następnej linii ochronnej. I tak oddział, bez oddania jednego strzału, po kilkunastu dniach pieszych marszów znalazł się w Rawie Ruskiej niedaleko Lwowa, a następnie w Brodach około 80 kilometrów od wschodniej granicy. Wobec rozprężenia i braku łączności, dowódca wydał rozkaz rozformowania oddziału. Każdy z żołnierzy miał działać odtąd na własną rękę.

Ojciec wiele się nie zastanawiał. Oddał karabin, kupił rower, zdjął bluzę wojskową, zabrał z jakiegoś rozbitego sklepu walizkę z czekoladą i pojechał do nas do Monasterzysk.

Po drodze, przejeżdżając samotnie przez ukraińskie wsie, zdejmował swe solidne buty i jechał na bosaka. Obawiał się bowiem, że może ktoś polakomić się na te buty i napaść na niego. Miał oczywiście na taką ewentualność jeszcze pistolet z zapasem amunicji. Przyjechał jednak do nas z poranionymi stopami, które długo musiał potem leczyć.

Następny dzień 17 września też był brzemienny w wydarzenia. W godzinach rannych usłyszeliśmy potężny warkot od strony drogi prowadzącej do Stanisławowa. Znaczny odcinek tej drogi, łączący miasto z przedmieściem, wraz z mostem na Koropcu, był doskonale widoczny z naszego domu. Droga z miasta w kierunku Stanisławowa jechały czołgi. Były to czołgi rosyjskie, z wielkimi czerwonymi gwiazdami na wieżach, wszystkie jednakowe, z niedużymi działkami. Zacząłem je liczyć. Liczyłem do zmroku i również w nocy, obserwując światła reflektorów. Przestałem liczyć, gdy przejechało 500 maszyn. A jechały jeszcze w następnym dniu.

Do południa udałem się na mój punkt obserwacyjny przy drodze lwowskiej. Na szosie nadal stał sznur furmanek polskich taborów wojskowych, które wolno przesuwały się w kierunku miasta. Tam przy fabryce tytoniowej żołnierze byli rozbrajani, a wozy i przewożony sprzęt przejmowane przez świeżo urządzoną wojskową rosyjską komendanturę miasta.

Jednakże tabory zajmowały tylko skrawek szosy i jej pobocze. Środkiem natomiast w kierunku Lwowa jechały nieprzerwanie samochody ciężarowe z czerwonoarmistami. Wszystkie samochody były jednego typu. Jak się potem dowiedziałem, były to słynne ZIS-y budowane w Moskwie na licencji amerykańskiej w setkach tysięcy egzemplarzy. Na każdym samochodzie siedzieli gęsto żołnierze w szarych szynelach, w szpiczastych czapkach, z karabinami wyposażonymi w bagnety. Większość załóg śpiewała jakieś marszowe wojskowe pieśni. Wiele samochodów ciągnęło nieduże działka polowe i przeciwczołgowe.

Tak więc od strony Buczacza, od granicy, jechały zapewne dwa szeregi pojazdów, które rozdzielały się w Monasterzyskach na dwa kierunki: czołgi na południowy zachód do Stanisławowa, samochody zaś w kierunku północno-zachodnim na Lwów. Gdy tak leżałem na łączce, przystanęło przy mnie kilku chłopów ukraińskich. Byli odświętnie ubrani w lniane koszule, wyszywane kolorowo i wykładane na spodnie. Byli boso, ale na ramionach mieli przewieszane buty, które wzuwali przy wejściu do miasta. Wracali zapewne z cerkwi, musiała to więc być niedziela. Słyszałem ich słowa kilka razy powtarzane: „Idiom na Germańca!”.

Niedługo jednakże sądzone mi było leżeć na swym punkcie obserwacyjnym nad szosą, gdyż wkrótce rozległa się od strony miasta kanonada ciężkiego karabinu maszynowego. Karabin strzelał długimi seriami, pociski zaś przelatywały ze świstem, wydawało mi się, że tuż nad moją głową. Uciekłem do domu, cały czas słysząc gwizd pocisków nade mną. Ustał dopiero, gdy dobiegłem zdyszany do domu.

Już tego wieczoru dowiedziałem się, co się zdarzyło. Mianowicie na głównym placu miasta delegacja Ukraińców i Żydów witała czołgistów uroczyście kwiatami oraz chlebem i solą. W odpowiedzi jeden z czołgów wystrzelał na wiwat kilka taśm pocisków. Narobił tym spore zamieszanie wśród witających, którzy zapewne nie spodziewali się tak głośnej repliki. W tym samym czasie również moja siostra wraz z ciotką Janką wybrały się z ciekawości w kierunku centrum miasta. Uciekły natychmiast przerażone, gdy usłyszały przeraźliwą kanonadę i sądziły, że czołg ostrzeliwuje mieszkańców.

Tegoż wieczoru widziałem jeszcze wielkie romby-taflę po 64 samoloty bombowe, lecące wysoko i powoli na zachód. Więcej samolotów jednocześnie oglądałem później tylko raz w 1944 roku, gdy eskadry superfortec amerykańskich leciały nad Warszawę.

Wojska rosyjskie przejeżdżały przez nasze miasteczko jeszcze przez kilka dni. Wszyscy myśleliśmy, że rozpoczyna się wojna rosyjsko-niemiecka. Słowa „Idą na Niemca!” powtarzali moi krewni, znajomi, przeczodnie. Tak samo niewątpliwie myśleli i oceniali sytuację polski rząd i marszałek Rydz-Śmigły, przekraczając w nocy 17 września granicę rumuńską w Zaleszczykach. Tak też zapewne sądził cały świat.

Gdy po krótkiej jednomiesięcznej kampanii wojennej zdano sobie sprawę, że Polska sromotnie ją przegrała, zaczęło się powszechne narzekanie i szukanie winnych. Obwiniano przede wszystkim władze państwowe za słabą, zacofaną gospodarkę, nieprzygotowanie do wojny, okłamywanie społeczeństwa, beztroskę rządzących itp. Złorzeczono na Francję i Anglię, które faktycznie nic nie zrobiły, by pomóc militarnie Polsce. Obruszano się też na Rosję za „nóż w plecy” i współpracę z Niemcami, mimo głośzonego przedtem potępienia faszyzmu niemieckiego.

Po 17 września w naszym mieście jakby niewiele się zmieniło. Żydzi uruchomili swe sklepy i zakłady rzemieślnicze, w obiegu pozostawały nadal polskie złote z Piłsudskim na awersie. Wprawdzie większość towarów podróżowała, niektóre trudno było nabyć, ale w zasadzie handel i usługi dla ludności funkcjonowały. Również uruchomione zostały niektóre urzędy, ruszyły też pociągi.

Dla mnie i siostry najważniejsze było to, że wkrótce także otwarte zostały wszystkie szkoły. Niestety, w Monasterzyskach nie było żadnej szkoły średniej. Wprawdzie społeczność miasteczka od lat dopomniwała się o zorganizowanie na miejscu gimnazjum, lecz bez rezultatu. Młodzież z miasta, chcąc się dalej uczyć, musiała jeździć pociągiem do Stanisławowa lub zamieszkać tam na stacji.

Od połowy października zaczęliśmy więc dojeżdżać codziennie pociągiem do Stanisławowa. Ja do pierwszej klasy tamtejszego III Państwowego Gimnazjum i Liceum im. St. Staszica, siostra do trzeciej klasy Gimnazjum Sióstr Urszulanek. Przyjęci zostaliśmy bez żadnych dodatkowych egzaminów. Chodziłem, jak w szkole podstawowej, do klasy, w której byli tylko chłopcy.

W klasie wyróżniało się kilku chłopaków, ale nie według zdolności, czy zapału do nauki, lecz według udawanej siły fizycznej i grubiańskiego zachowywania się. Polegało to na używaniu wulgarnych słów, opowiadaniu sprośnych kawałów, poniżaniu i maltretowaniu słabszych kolegów oraz na wywyższaniu się przy każdej okazji. Celowali w tym zwłaszcza młodzieńcy z tak zwanych dobrych domów. Ich widoczna zamożność, elegancja w ubiorach i tupet nie przekładały się jednakże na zdolności, wiedzę czy pracowitość. Sądzę, iż gdyby klasa była koedukacyjna, to nawet przy tej samej męskiej klienteli jej zachowanie byłoby łagodniejsze, nie tak agresywne. Wszak dziewczyny, jak muzyka, łagodzą ponoć obyczaje.

W ciągu trzech miesięcy uczęszczania do gimnazjum nie zawarłem żadnych znaczących przyjaźni. Nie utrwalił mi się też w pamięci żaden profesorowie. Jako języka obcego uczyłem się francuskiego, z którego zapamiętałem do dziś liczebniki i wiersz-piosenkę po francusku „Panie Janie!”.

Dojazd do odległego Stanisławowa był oczywiście bardzo uciążliwy. Wstawaliśmy o piątej rano, wracaliśmy około siódmej wieczorem. Jechało się w jedną stronę dwie godziny, przy czym pociąg prowadził dwa wagony specjalnie dla młodzieży szkolnej. W połowie drogi, przed Niżniowem nad Dniestrem, było znaczne wzniesienie, żeby nie powiedzieć góra, na którą niekiedy lokomotywa nie mogła wjechać. Wtedy pociąg się cofał, maszynista ładował większą porcję drewna do paleniska, a gdy w kotle było już dużo pary, pociąg się rozpędzał i forsował wzniesienie. Dla zabawy niekiedy wyskakivaliśmy z wagonów przy pierwszym nieudanym podejściu, natomiast wskakiwaliśmy z powrotem na górce za drugim razem.

Obiady jadałem w stołówce szkolnej, do miasta wychodziłem bardzo rzadko. Stanisławów liczył około 50 tys. mieszkańców. W tym ponad połowę stanowiła ludność polska, jedną czwartą Żydzi, a resztę Ukraińcy.

Raz z całą klasą byliśmy na defiladzie czołgów z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, gdyż w Stanisławowie stacjonował garnizon wojsk pancernych Armii Czerwonej. Wszyscy czołgiści, salutujący w wieżyczkach pojazdów, mieli skórzane hełmofony i kombinezony. Głęboki sens skózanego ubioru czołgistów zrozumiałem znacznie później, gdy na wojennych kronikach zobaczyłem, jak łatwo palą się czołgi. A skóra się nie pali.

W tym czasie rodzice przenieśli się do naszego własnego domu przy ul. Mołodeckiego 2. Usytuowany był około 300 metrów od fabryki tytoniu, przy bocznej uliczce, naprzeciw stacji kolejowej, od której oddzielała nas rozległa podmokła łąka i strumień, płynący tuż przy naszym ogródku. Budynek miał 3 izby, w tym kuchnię oraz niewielką spiżarnię z podpiwniczeniem i werandę. Dach dwuspadowy, kryty dachówką, mieścił obszerny strych do suszenia bielizny.

W tym czasie ojciec zbudował na działce mały budynek gospodarczy ze stanowiskiem dla jednej krowy, dwu świnek i z kurnikiem. Na stryszku było miejsce na siano i zboże.

Te koszmarne dojazdy do Stanisławowa trwały do grudnia. Od początku 1940 roku rozpoczęły się przeróżne zmiany, organizowane przez nowe władze. Powstawały jakieś urzędy, realizowano nacjonalizację dużych majątków ziemiańskich i kościelnych, wprowadzono do obiegu nowe pieniądze – karbowance.

Ale mnie to wszystko nie dotyczyło i nie interesowało w większym stopniu. Dla mnie najważniejsze było to, że w Monasterzyskach otwarte zostały dwie szkoły średnie: 10-latki, ukraińska i polska. Mogliśmy więc na miejscu kontynuować naukę na poziomie średniego wykształcenia.

Szkoła polska powstała na bazie istniejącej 6-klasowej szkoły podstawowej. Było więc ciasno i niektóre oddziały uczyły się na drugiej zmianie. Zacząłem chodzić do klasy szóstej, a moja siostra do siódmej, które były mniej więcej odpowiednikiem pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej. Obowiązywał program 10-latki radzieckiej. Cechowało go to, że przedmioty ściśle stały na stosunkowo wysokim poziomie, ale gorzej było z przedmiotami humanistycznymi.

Mieliśmy nowe podręczniki, częściowo tłumaczone z rosyjskiego. Wszystkie w kartonowych okładkach i wydrukowane na marnym, szarym papierze. Również wszystkie zeszyty miały twarde okładki, a pisało się fioletowym atramentem. Uczył nas komplet profesorów, w większości złożony z młodych kobiet.

Do szkoły miałem obecnie około 400 metrów i już to samo diametralnie odmieniło tryb mego życia. Przedtem, przez kilka miesięcy, czas upływał na przejazdach do gimnazjum w Stanisławowie i z powrotem, na uczeniu się i spaniu. Obecnie zostałem wciągnięty także w wir prac w gospodarstwie prowadzonym przez rodziców. Ale przede wszystkim nadal się uczyłem. Mogę szczerze powiedzieć, że włączając okres stanisławowski, aż do czasu przyjscia Niemców w połowie 1941 roku, główną osią mego życia była nauka. Do czerwca 1940 chodziłem do klasy szóstej, potem do czerwca 1941 do klasy siódmej dziesięcioletki, funkcjonującej w Monasterzyskach.

Na początku 1940 rodzice kupili młodą mleczną krowę, na którą wołaliśmy Basia. Otóż do moich podstawowych obowiązków należało wypasanie tejże Basi. Bardzo wstydzilem się, gdy prowadziłem ją sąsiednimi uliczkami. Najwidoczniej nie wiedziałem wtedy, że Wincenty Witos swe młode lata spędził również za krowim ogonem, a był potem trzykrotnie prezesem rady ministrów. Najczęściej pasłem krowę w głębokim jarze obok Góry Buczackiej. Tam nikogo nie było, uwiązana do palika pasła się spokojnie, natomiast ja czytałem książki i uczyłem się, niekiedy na głos.

Do moich wyłącznych obowiązków należało też przynoszenie wody wiadrami od sąsiada, gdzie była pompa, oraz rąbanie drewna na opał. Wraz z ojcem jeździliśmy do własnego lasu i tam pilowaliśmy upatrzone drzewa. Po odrąbaniu gałęzi i okorowaniu pni cięliśmy je na kilkumetrowe odcinki. Już w domu pilowaliśmy je na małe kawałki. A ja sam rąbałem je na szczapy, które układałem w małej drewnutni i przy południowej ścianie domu, celem przesuszenia.

Najcięższą pracą, jaką wykonywałem, było mielenie mąki na żarnach. Był to spory, spłaszczony walec kamienny, przed którym siedziałem okrakiem i obracałem go za pomocą wystającego drewnianego uchwyty. Do otworu w środku tego „koła młyńskiego” wsypywałem garściami kukurydzę lub pszenicę, a mąka wysypywała się dołem na obwodzie na kamienne podłoże. Do cięższych prac należało

również młócenie zboża drewnianymi cepami oraz krajanie łodyg kukurydzy względnie słomy na ręcznej siewkarni, ustawionej na podwórzu.

Do najlżejszych prac zaliczyć można było łuszczenie kukurydzy, a także nawijanie na sznury liści tytoniowych, celem ich przesuszenia, ale też były to prace wyjątkowo nudne.

Do prac polowych chodziliśmy najczęściej wszyscy razem, w czwórkę. Główne roboty, w jakich brałem udział, to: sadzenie kukurydzy, ziemniaków i tytoniu; okopywanie ziemniaków i tytoniu; plewienie, łuskanie i ścinanie kukurydzy; zbiór tytoniu oraz wykopki ziemniaków i buraków cukrowych. Bardzo nie lubiłem wszelkich prac wiążących się z grzebaniem w ziemi, za co ojciec się niekiedy na mnie obruszał. Raz, przy ścinaniu kukurydzy, skaleczyłem się poważnie zębatym sierpem w mały palec lewej ręki, na którym do dziś mam długą bliznę.

Do orania ziemi ojciec wynajmował konia z pługiem. Sam natomiast ścinał zboże kosą skonstruowaną przez siebie. Był w tym zakresie pionierem w okolicy, bo wszędzie do zbiórki zboża stosowano jedynie sierpy. Często chłopci, przechodzący obok koszącego ojca, przystawali z ciekawości, twierdząc, że używanie cudacznej kosy powoduje duże straty ziarna. Oczywiście nie było to prawdą, ale „stare” zawsze wynajduje jakieś argumenty, broniąc się przed „nowym”.

Wzorem rodzin wiejskich byliśmy prawie samowystarczalni. Kupowaliśmy jedynie naftę, sól i zapalki. Zamiast cukru używaliśmy syropu z buraków cukrowych, który mama sama warzyła. Nawet mydło mieliśmy własnego wyrobu. Robiła je mama, wytapiając potwornie śmierdzący łój. Ja przygotowywałem tekturowe foremki, w których odlewałem wytopione mydło w zgrabne kostki. Część wyprodukowanego mydła sprzedawaliśmy sąsiadom, a nawet siostra, wozila je na sprzedaż do Stanisławowa.

Smakowity chleb wypiekała mama sama w dużym piecu chlebowym, mieszczącym się z boku trzonu kuchennego. Takie piece chlebowe były, praktycznie biorąc, we wszystkich mieszkaniach na wsiach i w miasteczkach.

W okresie jesiennym mama robiła mnóstwo słoików z przetworami i sokami warzywnymi oraz owocowymi. Zawsze też kisilo się na zimę sporą beczkę kapusty. Kroiła ją mama na wypożyczonej od sąsiada szatkownicy. Ja zaś miałem monopol na ugniatanie posiekanej kapusty w beczce nogami, które przedtem oczywiście starannie szorowałem.

Również mięso mieliśmy z własnej hodowli kur, królików i świń. To pozyskiwanie mięsa wiązało się, rzecz jasna, z uśmiercaniem hodowanych zwierząt. W normalnych rodzinach wiejskich proceder ten to jak świt lub zachód słońca. Ja do tego nie mogłem się przyzwyczaić.

Wszystkie egzekucje wykonywał ojciec. Króliki umierały cichutko. Ojciec zgrabnie ściągał z nich futerka, a następnie przekazywał je gdzieś do wygarbowania i wyprawienia. Nosiliśmy je potem poprzyszywane do kołnierzy naszych kurtek.

Świniobicie natomiast to była dużo grubsza sprawa. Wieprzki, zabijane obuchem siekiery, kwiczały straszliwie. Ja chowałem się wtedy w jakimś kącie i zatykałem uszy. Ale ojciec twardo wzywał mnie do pomocy. Razem wciągaaliśmy zwłoki do dużej blaszanej balii, ja polewałem je wrzątkiem i pomagałem skrobać szczecinę specjalnie naostrzonym nożem. Na tym moja rola, w zasadzie, się kończyła. Rodzice nic więcej ode mnie już nie wymagali, choć sami mieli jeszcze bardzo dużo pracy przy patroszeniu, rozbiorze mięsa, a następnie przy wyrobie przeróżnych kiełbas, kiszek, salcesonów. Niekiedy tylko ochotniczo pomagałem przy wyrobie kiełbas i ich wędzeniu w ogródku, we własnej wędzarni, skonstruowanej przemyślnie przez ojca.

Ale najstraszniejszą śmiercią zwierzęcia, jaką widziałem i automatycznie przeżywałem potem ze ściśniętym sercem przez wiele dni, to była śmierć konia. Do dziś pamiętam tego pięknego, karego rumaka wierzchowego i jego oczy, którymi patrzył na mnie, konając powoli. Tego mordy, dokonanego zresztą przez mego wujka, profesjonalnego rzeźnika, nie opiszę.

Przetwory mięsne były przechowywane w piwnicy w bryłach lodu, które ojciec w czasie zimy wyrąbywał na pobliskim potoku. Lód z kolei mieszało się z trocinami, wówczas topniał bardzo powoli. Na dłużej przechowywała się słonina peklowana w soli kuchennej. Po dłuższym czasie nabierała żółtego koloru i smakowała znakomicie. Była też, obok tytoniu, jakby żelazną walutą, za którą wszystko można było otrzymać.

W okresie lato-jesień matka produkowała dużą butlę wina, najczęściej z płatków róży, w czym się wyspecjalizowała. Wieńczyło ono potem, przez długie miesiące, wszelkie uroczystości, przyjęcia i poczęstunki przy różnych okazjach. Natomiast rodzice nigdy nie podejmowali się produkcji samogonu, tak popularnego w czasie wojny i zastępującego trudno dostępne monopolowe trunki. Wytwarzanie bimbru było bowiem zawsze nielegalne i ostro karane przez wszystkie władze. Rodzice zaś za dużo mieli do stracenia, by w ten nierozważny sposób ryzykować jakieś represyjne działania aktualnych „stróżów porządku”.

Głównym naszym pożywieniem przez cały okres przebywania na kresach było mleko i kukurydza. Mleka mieliśmy w nadmiarze, bo nasza Basia dawała po pół wiaderka na każdy udój, tak że nawet odsprzedawaliśmy mleko sąsiadom, którym nosiłem je w małych bańkach. Kukurydzę spożywało się

pod różnymi postaciami, zwykle jako podstawowe danie z mięsem, sosami, warzywami, na słodko z sokami, a najczęściej z mlekiem. Na te dania mleczne mówiło się kulesza albo mamałyga, w zależności od konsystencji gotowanej mąki kukurydzianej.

Praca fizyczna i zdrowy sposób odżywiania spowodowały, że nabrałem siły, żeby nie powiedzieć krzepy, gdy zawsze przedtem byłem raczej cherlawy i niepozorny. Nie chorowałem też, jeśli nie liczyć pewnej epidemii grypy, która położyła do łóżka całą moją rodzinę.

Również w zakresie ubiorów i obuwia byliśmy zupełnie samowystarczalni. Wszelkie koszule, sukienki, ubrania, płaszcze szyła mama na tej samej bardzo dobrej maszynie zabranej ze Śląska. Sandały i trepy wyrabiał ojciec na własnoręcznie wyciosanych, drewnianych kopytach. Kupował do tego tylko dratwę i skórę lub stare obuwie i je przerabiał. Zimą wyplatał zgrabne kosze i koszyki z wikliny zebranej z pobliskich mokradeł. Te kosze były niekiedy sprzedawane lub wymieniane na rzeczy nam potrzebne.

Ojciec własnoręcznie skonstruował też dwie ławy skrzyniowe, tak zwane bambetle, które stały w kuchni. Po rozsunięciu ławy tworzyło się łóżko do spania, gdyż w skrzyni był siennik wypchany słomą i puchowa pierzyna. Skarpety i swetry robiły mama i siostra na drutach. Ja też się nauczyłem tej sztuki, ale do mnie należało raczej prucie starych sweterków i zwijanie włóczki w kłębki.

Przy tych wszystkich polowych i domowych pracach i czynnościach dla mnie oraz siostry najważniejsza była jednak nauka. Rodzice oszczędzali nas i dbali o to, abyśmy mogli bez przeszkód chodzić do szkoły i spokojnie odrabiać zadane lekcje w domu.

Po raz pierwszy byłem w klasie koedukacyjnej. Chłopaków było jednak wyraźnie więcej niż dziewczyn. Koledzy w klasie byli w większości bardzo ruchliwi, psocili, na przerwach krzyczeli tak, że nie można było normalnie rozmawiać. Dziewczyny były o wiele spokojniejsze, zwłaszcza dwie Żydówki, które siedziały w pierwszej ławce, podobnie jak ja. One też, obok mnie, uczyły się w klasie najlepiej. Prześcigaliśmy się niekiedy w zgłaszaniu się do odpowiedzi.

Mieliśmy w siódmej klasie aż 12 przedmiotów. Lubiłem algebrę, geometrię, fizykę, geografę i rysunki. Gorzej było z historią, polskim, nauką o konstytucji, najgorzej z językiem ukraińskim i niemieckim.

Istniała poważna bariera w opanowaniu języka ukraińskiego. Mianowicie wpieryw należało nauczyć się czytać i pisać cyrylicą, starosłowiańskim alfabetem, używanym w krajach o obrządku greckokatolickim i prawosławnym. Ja tę umiejętność opanowałem jeszcze w 1939 roku z pomocą mamy, przy czym korzystałem w nauce prawie wyłącznie z ukraińskich gazet.

Matematyki uczyłem się szybko, przerabiałem na wyrost zadania z podręcznika, na lekcjach nieraz wrywałem się z odpowiedzią, zanim profesorka skończyła pytanie. Raz w czasie lekcji zostałem zawezwany do klasy ósmej, do której chodziła moja siostra, i tam przy tablicy rozwiązałem jakieś zadanie matematyczne. Nikt w klasie nie potrafił sobie poradzić z tym zadaniem. Nie było to zapewne właściwe postępowanie pod względem pedagogicznym ze strony wykładowcy, ale ja byłem dumny z tego wyróżnienia.

Bardzo lubiłem geografę, orientowałem się szybko na mapie. I gdy były z tym kłopoty w klasie, to nauczyciel wzywał mnie do mapy. Chętnie sam wertowałem w domu świetny atlas geograficzny Eugeniusza Romera, który kupiliśmy tuż przed wojną.

Zdecydowanie najlepiej w klasie rysowałem. Moje rysunki wisiały na korytarzu i zamieszczałem je w klasowej gazecie ściennej. Kilka moich rysunków zostało przez szkołę wysłanych na wystawę rysunków szkolnych do Kijowa i Charkowa.

Bardzo szczególne były wykłady z historii. Nasz wykładowca, profesor Pohorille, był oryginałem w każdym calu. Świetny znawca historii świata i Polski mówił z wielką swadą tubalnym głosem, jednak nigdy nie patrzył na rozmówcę, tylko bokiem, w jakiś nieokreślony punkt. Wykorzystując to, chłopcy urządzali psoty, jakby żywcem wzięte z powieści „Szatan z siódmej klasy” Kornela Makuszyńskiego. Po klasie latały samolociki, chłopaki obrzucali się papierowymi kulami, a tablica z mapą wędrowała po klasie, ciągnięta skrycie na sznurku. Oczywiście, zauważył to, penił się ze złości i wykrzykiwał bezradny jakieś pogrożki. Ale nigdy nie orientował się, kto jest sprawcą psoty.

Raz przebrała się miarka, gdy w klasie wybuchła petarda z hukiem, jakby detonował granat. Przerwał wtedy lekcję i krzycząc, że to sabotaż, pobiegł do dyrektorki. Potem, do końca lekcji, było jej kazanie. Mowy słuchaliśmy, stojąc na baczność. Nastąpiło też przesłuchanie, ciągnące się tak długo, aż znalazł się winowajca. Zgłosił się sam wobec groźby ściągania wszystkich rodziców.

Przez dwie godziny w tygodniu mieliśmy lekcje z przysposobienia obronnego, prowadził je młody oficer rosyjski, oczywiście po rosyjsku. Uczyliśmy się obsługiwać broń ręczną, rzucać granaty, ale również były wykłady o tematyce wojskowo-politycznej. Prowadzący lekcje oficer pokazywał nam na mapach przebieg wojny w Libii i na Bałkanach. Pamiętam, jak mówił nam wprost, że niedługo będzie wojna Rosji z Niemcami i że ZSRR wykorzystuje czas pokoju na intensywne zbrojenia wojenne.

Obserwowaliśmy akurat wyrazisty tego przykład, gdyż w odległych o jakieś 30 kilometrów Podhajcach budowano pośpiesznie duże lotnisko wojskowe. Na budowie tej zatrudnionych było wielu mieszkańców naszych Monasterzysk i okolicznych wiosek, wraz z konnymi podwodami.



W ramach tych zajęć z „osoawiachim”, jak się mówiło, mieliśmy raz całodzienne manewry na okolicznych polach i w lasach. Biegaliśmy tyralierą po polach z drewnianymi karabinami, a w lesie starliśmy się z „wrogiem”, którym byli chłopcy ze szkoły ukraińskiej. Różniliśmy się kolorem opasek, jakie nosiliśmy wszyscy na lewym ramieniu. Oni mieli opaski zielone, my niebieskie. O wynikach „bitwy” miało zadecydować zerwanie nieprzyjacielowi opasek. Przegraliśmy, my ze szkoły polskiej, bo oni, łobuzy, mieli opaski poprzyszywane do rękawów bluzek.

Nie przyjaźniłem się specjalnie z nikim w mojej klasie, natomiast miałem serdecznego kolegę Jurka w równoległej klasie VIb. Ja chodziłem wówczas do klasy Via i VIIa. Mieliśmy wyjątkowo zgodne charaktery i zainteresowania. Potrafilimy godzinami błądzić po okolicy i dyskutować o nauczanych przedmiotach, przeczytanych książkach, filmach, astronomii, a nawet o systemach filozoficznych.

Graliśmy obaj w szachy w klubie młodzieżowym, przy czym ja byłem lepszy. Mocniejszy też byłem w matematyce i fizyce, on natomiast był znakomitym humanistą. Pisywał piękne wypracowania z polskiego. Obaj redagowaliśmy gazetki ściennie w swych klasach. Moja nazywała się NA PRZEBÓJ i byłem autorem większości zamieszczanych w niej artykułów, rysunków, zadań i krzyżówek. Pamiętam, jak raz z wyraźną zazdrością czytałem fantastyczny artykuł pod banalnym tytułem „Widok z mojego okna”, napisany przez Jurka Kruszkę w jego gazecie.

Miałem także kilku kolegów z najbliższego sąsiedztwa. Chodziliśmy do jedyne kina w miasteczku. Pamiętam jeden film z tego okresu z Lubow Orłową pod tytułem „Świat się śmieje”.

Jeździliśmy też na rowerach, najczęściej w kierunku Buczacza. Wprawdzie po drodze musieliśmy pokonać górę, pod którą trzeba było rower prowadzić, ale za to zjeżdżało się potem z szybkością wiatru. Wszystkie boczne drogi były gruntowe, a główne i wylotowe miały nawierzchnię z kocich łbów. Jeździło się po nich rowerem jak po pralce, więc zwykle korzystaliśmy ze ścieżek wydeptanych na poboczach.

Kąpaliśmy się w pobliskim stawie-gliniance, który był bardzo głęboki. Raz najzwyczajniej się topiłem, lecz kolega wyciągnął mnie na brzeg. Od tego czasu mam awersję do kąpania się, z wyjątkiem kąpieli w wannie, oczywiście.

Moja siostra miała znacznie bogatsze życie koleżeńskie. Otaczał ją stale rój koleżanek i kolegów. Większość z nich dojeżdżała wcześniej do Stanisławowa, potem razem chodzili do ósmej klasy. Umawiali się na majówki pod miastem oraz na prywatki, urządzone w mieszkaniach. Takie potańcówki były i u nas w domu; również koleżanki i koledzy siostry często do nas przychodzili. Oczywiście, poszczególne pary sympatyzowały ze sobą. Także moja siostra miała, jak mi się wydawało, coraz to inną sympatię. Wszyscy byli co najmniej o rok, dwa starsi ode mnie. Przy moich 15 latach to była duża różnica i ja w żadnym razie nie pasowałem do ich „paczki”. Te koleżeństwa i znajomości siostra utrzymywała również po wojnie przez dziesiątki lat.

Mój ojciec przeobraził się całkowicie w gospodarza. Miał więc status hadziaja, co było świetnym kamuflażem jego przedwojennego stanowiska zawodowego wojskowego. Nikt o jego przeszłości praktycznie nie wiedział, z wyjątkiem członków rodziny.

Rodzice skrupulatnie płacili podatki i wywiązywali się z kontyngentów w naturze, należnych z tytułu posiadanej ziemi, żeby w żadnym wypadku nie spowodować jakiegoś zadrażnienia z władzami. Szczególnie pozytywne znaczenie miała nasza plantacja tytoniu. Wszelkie sprawy w urzędach załatwiała sama mama, która świetnie znała język ukraiński, podczas gdy ojciec nie potrafił przeczytać po ukraińsku nawet kilku zdań. Ograniczał też swe znajomości tylko do Polaków z najbliższego sąsiedztwa.

Rodzice mogli czuć się zagrożeni, zwłaszcza w pewnych, szczególnie groźnych dla nas sytuacjach. Już w pierwszych miesiącach miało miejsce przekazywanie Niemcom rodzin polskich, zamieszkałych przed wybuchem wojny na terenach zajętych przez III Rzeszę. To byłoby dla ojca tragiczne. Ale w danych ewidencji ludności w urzędzie miejskim nie było żadnej wzmianki o naszym zamieszkiwaniu na Śląsku. Przyczynił się do tego ojciec mamy, który w 1939 był jeszcze radnym miejskim i miał odpowiedzialnie znajomości w biurze meldunkowym. Niemale znaczenie miało zapewne też to, że mama pochodziła z Monasterzysk oraz że moja siostra i ja urodziliśmy się na tamtych terenach.

Zaczęły się niebawem różnego rodzaju represje w stosunku do ludności polskiej. W wyborach do władz lokalnych pod koniec października wybrani zostali głównie Ukraińcy miejscowi lub przybyli ze Wschodu. Po czym 15 listopada południowo-wschodnie tereny Polski, zajęte przez ZSRR, włączone zostały administracyjnie do Ukraińskiej SRR, północno-wschodnie do Białoruskiej SRR, a Wileńszczyzna przekazana Litwie.

Już samą kampanię wyborczą prowadzono w atmosferze wrogości do Polaków i „jaśniepańskiej Polski”, jak mówiono. Rugowano masowo Polaków z urzędów, służb komunalnych, poczty, kolei. Konfiskowano majątki ziemskie i kościelne, a ziemie parcelowano między ludność ukraińską.

Od lutego 1940 roku rozpoczęły się deportacje polskiej ludności w głąb ZSRR. Pierwsza deportacja objęła osadników wojskowych i kilkadziesiąt tysięcy chłopów mazurskich, osiedlonych na Kresach po niekorzystnym dla Polski plebiscycie na Warmii i Mazurach. Ich los w międzywojennej Polsce był bardzo marny, nie lepszy niż miejscowych chłopów. Ci osadnicy w następnych latach w pierwszej kolej-

ności ulegli eksterminacji przez UPA. Ich ziemie i pozostawiony inwentarz żywy przypadł ludności ukraińskiej. Deportacje odbywały się w krytych wagonach towarowych z zakratowanymi okienkami. Widziałem je kilka razy na stacji kolejowej w Monasterzyskach. Wówczas przenosiliśmy się na dzień lub dwa do wuja Fredka, gdzie skrycie nocowaliśmy.

Następne wywózki w kwietniu i czerwcu 1940 objęły głównie rodziny wyższych urzędników, policjantów, wojskowych i ziemiaństwo. Kwalifikowaliśmy się, jak najbardziej, do tych transportów, ale we wszelkich oficjalnych dokumentach ojciec figurował jako drobny rolnik, najwidoczniej bez jakiegokolwiek wzmianki, że przez 18 lat był zawodowym wojskowym Straży Granicznej.

Toteż wszelkie represje, nękające innych współrodaków w tamtych, niedobrych latach, omijały moją rodzinę, a ja nawet z tych zagrożeń nie w pełni zdawałem sobie sprawę.

Gdzieś od połowy 1940 rodzice wynajmowali jeden pokój z werandą rodzinie uciekinierów z Krakowa. On jednakże od razu wyjechał, bodaj za pracą, do Stanisławowa, pozostawiając żonę i 10-letnią córeczkę, Mirkę. Pani ta była wcześniej nauczycielką i zdecydowanie różniła się od mojej mamy. Przede wszystkim tym, że moja mama potrafiła wszystko zrobić, była bardzo pracowita i umiała się przystosować nawet do tak różnych warunków egzystencji, jakie mieliśmy na wschodzie.

Nasza sublokatorka tymczasem była niezwykle sympatyczna, rozmowna i dbająca o siebie, ale pochodząc z mieszczańskiej rodziny, nie potrafiła dostosować się do ciężkiej rzeczywistości. Nie mogąc pracować w swym zawodzie, nie miała szans na zapracowanie na własne i córki utrzymanie. Żyła z jakichś posiadanych oszczędności, ze sprzedaży biżuterii czy czegoś podobnego.

Córeczka była prześliczna, pełna życia i pięknie śpiewała. Oczywiście podkochiwałem się w niej, jeśli tak można powiedzieć, na skalę moich 15 lat. Mirka towarzyszyła mi w różnych moich pracach, pomagałem jej w rachunkach, graliśmy w karty i chińczyka. Zaręczyliśmy się nawet drucianymi obrączkami, przy czym była to, oczywiście, wyłączna jej inicjatywa. Gdy wracała z mamą z miasta, wyprzedzała ją jodlując, i przechodziła do ogródka przez dziurę w płocie. Ja na nią już tam czekałem.

Wiosną 1941 wyjechała nagle wraz ze swą mamą do Stanisławowa. Były wówczas wielkie opady deszczu i powódzie. Uszkodzony został nawet przez żywioł wodny most kolejowy na Dniestrze. Przez dłuższy czas pozostałem niepokieszony, naturalnie nie z powodu tego mostu.

W ciągu 1940 i pierwszej połowy 1941 zasadniczo zmieniła się mapa oraz sytuacja polityczna i wojskowa Europy. W okresie trzech miesięcy kwiecień-czerwiec 1940 Niemcy podbiły w błyskawicznych kampaniach wszystkie państwa kontynentalne Zachodniej Europy. Broniła się już tylko Anglia, nękana nalotami oraz wojną na Morzu Północnym i Oceanie Atlantyckim.

W czerwcu przeszły przez Monasterzyska w kierunku Buczacza i Zaleszczyk wielkie oddziały kawalerii. Jeźdźcy jechali stępą po czterech w szeregu prawie na całej szerokości jezdni. Żeby przejść na jej drugą stronę, musiałem długo czekać, by wykorzystać przerwę w szwadronach czy pułkach.

Podczas kilku dni Rosjanie zajęli Besarabię i Górną Bukowinę, stanowiące terytorium Rumunii. Państwo to zresztą niedługo, bo we wrześniu tego roku, utraciło również prowincję Siedmiogród na rzecz Węgier i Południową Dobrudżę na rzecz Bułgarii. Po czym, po abdykacji króla Karola II i przejściu władzy przez gen. Antonescu – Rumunia przyłączyła się do „Paktu Trzech”, utworzonego przez III Rzeszę, Włochy i Japonię.

W krótkim czasie to samo uczyniły Węgry, Słowacja, Bułgaria i Finlandia. Natomiast w ostatnich dniach sierpnia trzy państwa bałtyckie Litwa, Łotwa i Estonia zostały włączone do ZSRR.

Późną wiosną 1941 miały miejsce wystąpienia nacjonalistycznej organizacji ukraińskiej OUN wobec władz „Zapadnoj Ukrainy”. Między innymi w Monasterzyskach zabity został prokurator rejonowy, Rosjanin. Władze dopiero wtedy zorientowały się, że w podziemiu, w oparciu o pomoc niemiecką, Ukraińcy rozbudowują struktury organizacyjne do walki z ZSRR. Nacjonałści ukraińscy chcieli bowiem utworzenia całkowicie niepodległej Ukrainy, o której myśleli, że powstanie po wojennym zwycięstwie Niemiec.

Rozpoczęły się wtedy aresztowania Ukraińców, związanych z podziemnymi organizacjami wojskowo-politycznymi, sposobiącymi się do walk dywersyjnych u boku Niemiec. Nie aresztowano wszystkich ukraińskich przeciwników ZSRR.

Dnia 12 czerwca 1941 otrzymałem świadectwo ukończenia siódmej klasy. Obejmowało ono oceny kwartalne, roczne, ustne, pisemne i ogólne (razem 66 stopni). Wszystkie bardzo dobre, z wyjątkiem dwóch dobrych ocen z nauki o konstytucji.

## Trzy fronty wojenne

Fabryka się pali \* Przyszli Niemcy \* Samonauczanie \* Holocaust \* Obrona przed UPA \* Niepoważne wojsko \* Sztukasy

W dniu 22 czerwca 1941 roku Niemcy rozpoczęły wojnę przeciwko ZSRR. Ludność Kresów Wschodnich nie była tym zaskoczona, bo wszyscy przewidywaliśmy, że to starcie się dwóch wrogich

sobie ideologii musiało nieuchronnie nastąpić. Przeważał pogląd wśród Polaków, dla wielu będący odzwierciedleniem ich nadziei, że oto dwie wrogie Polsce potęgi wzajemnie się wykrwawią i osłabną tak, że warunki zakończenia II wojny światowej dyktować będzie Anglia, oczywiście z korzyścią dla Polski. Ale faktycznie to nikt nie mógł być pewny, jak potoczą się dalsze losy wojny i jego losy osobiste.

Główny wysiłek wojenny armii niemieckich skierowany został na Mińsk i Moskwę oraz na północ. W naszej okolicy tymczasem niewiele się działo. Przez Monasterzyska nie przechodziły żadne większe oddziały Armii Czerwonej ani na zachód, ani na wschód. W rejonie miasta przez kilka dni, odbywały się bardzo widowiskowe pojedynki lotnicze, jednakże nie było żadnych innych działań wojennych.

W pierwszych dniach lipca małe oddziały Rosjan wycofały się z miasta, wysadzając stalowy most kolejowy na Koropcu i podpalając fabrykę tytoniu. Widziałem z daleka, jak elementy tego mostu powoli wznosiły się i opadały ponad dachami domów i dopiero po chwili usłyszałem łoskot dalekiego wybuchu.

Na okrzyk: „Nie ma wojska, fabryka się pali!”, wielu ludzi z najbliższych uliczek podążyło do fabryki. Mieszkaliśmy niedaleko i również pobiegłem tam razem z ojcem. Ludzie gromadzili się głównie w rejonie magazynów, to gasząc pożar, to wynosząc bele zmagazynowanego w nich tytoniu. Także my wyciągnęliśmy z jednego z palących się magazynów belę sprasowanego, przesuszonego już tytoniu, przygotowanego do produkcji papierosów. Wózkiem przewieźliśmy cenny ładunek do domu. Był to, mniej więcej, metr sześcienny tytoniu, stanowił później, obok gospodarstwa, podstawowe źródło dochodów naszej rodziny.

Siostra przyszła w tym czasie z wiadomością, że niedaleko stacji kolejowej jest wielki magazyn z jajkami. Wzięliśmy wiadra oraz kosze i poszliśmy w dwójkę. Były tam ogromne betonowe baseny pełne kurzych jaj, zatopionych w roztworze wapiennym. Klęcząc na brzegu zbiornika, nabierałem wiaderkiem te jajka, po czym przelewałem je do zatopionych koszy. Wróciliśmy do domu z pełnymi koszami, z setkami jajek. Na drugi dzień na śniadanie jedliśmy największą w życiu jajecnicę z 30 jaj. Oczywiście, nie mogliśmy ich długo przechowywać i byliśmy zmuszeni w miarę szybko je skonsumować.

Bezkrólewie, w czasie gdy nie było już Rosjan, a nie przyszły jeszcze wojska niemieckie, trwało kilka dni. Na drugi czy trzeci dzień gruchnęła straszna wiadomość. W sąsiedniej wsi Czechów, oddalonej od Monasterzysk około 4 kilometrów, doszło do pierwszej w okolicy rzezi kilkunastu Polaków, dokonanej przez Ukraińców. Zamordowani zostali w okrutny sposób wszyscy Polacy mieszkający w tej wsi, bez względu na płeć i wiek, przy czym większość tragedii rozegrała się wewnątrz mieszanych rodzin.

Wówczas po raz pierwszy zorganizowaliśmy na naszych polskich uliczkach spontaniczną samoobronę: gongi, warty, siekiery, wiadra na wodę itp. Tyle razy to potem przerabialiśmy. Na dużą skalę pacyfikację ludności polskiej rozpoczęły się jednak znacznie później, w połowie 1943 roku.

W tej wsi kilka miesięcy wcześniej byłem z mamą, żeby w tamtejszej olejarni wytłoczyć olej słonecznikowy dla naszych domowych potrzeb. Była tam bowiem najbliższa samoobsługowa olejarnia, dostępna dla wszystkich za niewielką opłatą.

Pamiętam, że wyglądem wioski byłem wprost przerażony. Stały tam małe chaty-lepianki, przytulone do siebie wzdłuż szerokiej, rozjeżdżonej, błotnistej drogi. Wszystkie kryte słomą, z małymi okienkami i drzwiami. Jedyny większy obiekt we wsi to była właśnie ta olejarnia, o drewnianej konstrukcji, z halą, w której środku znajdowało się urządzenie do wytłaczania oleju. Prawdopodobnie pochodziło ono jeszcze z XIX wieku. Poruszane było siłą ludzką za pomocą jakby kieratu. Obsługiwałem ów kierat, mama zaś dogadywała się z właścicielem.

Wokół hali, pod ścianami znajdowały się ciągle ławy. Pomieszczenie to było bowiem równocześnie świetlicą, miejscem spotkań mieszkańców wioski, zwłaszcza młodzieży. W tym czasie było tam także kilka osób. Gdy z mamą czekaliśmy na swą kolejkę do wyłaczarni i również w czasie samej pracy, nie odezwałem się ani słowem, by nie zdradzić, że jesteśmy Polakami.

Później, już pod koniec niemieckiej okupacji, wieś ta spłonęła doszczętnie w ciągu kilku godzin. Pożar spowodowany został jedną jedyną bombą zapalającą, zrzuconą z samolotu na skraju wioski. Wiał wtedy silny wiatr w kierunku zabudowy i nie było żadnych szans na ratowanie od ognia wysuszonych słomianych strzech i drewnianych pował.

Tymczasem przyszli Niemcy i Węgrzy. Też nie pamiętam wielkich rzesz wojska. Natomiast bardzo szybko naprawiono, a raczej wybudowano nowy, prowizoryczny most kolejowy na rzece Koropiec i za kilka dni ruszyły linią kolejową na wschód liczne transporty z wojskiem, czołgami, artylerią oraz innym sprzętem i zaopatrzeniem wojskowym.

Te wojskowe transporty towarzyszyły nam potem przez prawie trzy lata. Od ich wielkości można było ocenić natężenie walk na froncie wschodnim. Składy pociągów liczyły często po 50 wagonów, ciągniętych przez dwie duże lokomotywy parowe. Zwykle pierwsza miała na przedzie wielki znak „V”, będący pierwszą literą łacińskiego słowa „Victoria”, oznaczającego zwycięstwo. Ten znak był zresztą używany przez niemiecką propagandę na plakatach, w kronikach filmowych oraz przez żołnierzy, jadących w wagonach czy samochodach i robiących palcami „króliczka” na widok mijanej ludności. Do czasu!

Administracyjnie tereny byłych południowo-wschodnich województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, włączone zostały do Generalnego Gubernatorstwa, obejmującego również pozostałe centralne i zachodnie tereny Polski, poza przyłączonymi do Rzeszy Niemieckiej. Te trzy województwa stanowiły tzw. Dystrykt Galicyjski. Zarządzany był on z Krakowa przez niemieckiego gubernatora Hansa Franka i jego rząd.

Wbrew nadziejom społeczności ukraińskiej Niemcy nawet nie myśleli o utworzeniu „samostijnej” Ukrainy. Całe swe zainteresowanie dystryktem skierowali na utworzenie aparatu eksploatacji gospodarczej oraz aparatu policyjnego, który miał umożliwić tą eksploatację i zwalczać wszelki opór ze strony miejscowej ludności.

W tym celu, po przejściu armii frontowych, instalowano, zwłaszcza w większych ośrodkach miejskich, wojskowo-cywilne grupy do zadań specjalnych, tzw. Einsatzgruppen. Nie były one liczne, dlatego wspomagane dorywczo przez jednostki Wehrmachtu, za to wyspecjalizowane w spełnianiu określonych zadań: gospodarczych, grabieży dóbr kulturalnych, zabezpieczenia siły roboczej, wyniszczania określonych kategorii ludności.

To ostatnie dotyczyło zwłaszcza wszystkich Żydów, jeńców rosyjskich, komunistów oraz uczonych i intelektualistów polskich. Te eksterminacje realizowane były z różnym natężeniem przez cały okres okupacji. Lecz już w lipcu 1941 zmroziła Monasterzyska wieść o rozstrzelaniu we Lwowie trzydziestu kilku profesorów wraz z ich rodzinami.

Mimo ewidentnej „zdrady” przez III Rzeszę sprawy niepodległej Ukrainy, przynajmniej w oczach części zawiedzionych Ukraińców, Niemcy, realizując zasadę całkowitego podporządkowania sobie Galicji, oparli na nacjonalistach ukraińskich. Wykorzystywali ich nienawiść do Polaków, Żydów i Rosji radzieckiej. Przy czym sami tę nienawiść ciągle podsycali.

Po pewnym czasie w miasteczku zainstalowało się kilku Niemców, którzy sprawowali naczelną władzę, mając do dyspozycji administrację i policję ukraińską. Zmienił się, oczywiście, skład osobowy lokalnych organów władzy, jednych Ukraińców zastąpiono innymi, ale dla ludności polskiej nie miało to większego znaczenia. Natomiast radykalnie na gorsze odmienił się los ludności żydowskiej.

Pewna część Żydów, zwłaszcza tych bogatszych i pełniących różne stanowiska, ewakuowała się w ostatnich dniach czerwca do ZSRR, podobnie jak nieliczni napływowi Rosjanie.

Ale absolutna większość biedoty żydowskiej, tej wielkiej rzeszy drobnych rzemieślników i kupców, pozostała na miejscu. Ich czekały represje i szykany od pierwszych dni rządów niemieckich. I to nie tylko z rąk czy na rozkaz samych Niemców, ale również z rąk i z inicjatywy nacjonalistów ukraińskich. Rekwirowali oni mienie i mieszkania rodzin żydowskich, jak również rugowali Żydów z ich sklepów i warsztatów rzemieślniczych, przydzielając je sobie samym.

W sierpniu władze niemieckie wydały rozporządzenie zobowiązujące całą ludność żydowską do noszenia na ubraniu, na lewej piersi, naszywek z żółtego materiału w kształcie sześcioramiennego gwiazdy Dawida, na tle czarnego konturu. W ciągu kilku kwartałów ludność ta została stłoczona w getcie, utworzonym w centrum miasteczka.

Moja rodzina natomiast nie odczuła większych zmian w swym życiu. Zajmowaliśmy się nadal głównie swymi licznymi pracami w polu i w gospodarstwie.

Natomiast skończyły się możliwości dalszej edukacji, zwłaszcza dla mnie. Z nastaniem nowego roku szkolnego okazało się, że nie będzie żadnych ponadpodstawowych szkół dla ludności polskiej. Zgodnie z dalekosiężnymi planami Hitlera, Polacy mieli stanowić kastę robotników i pracowników fizycznych na użytek Wielkiej Rzeszy i nowej Europy w epoce zwycięskiego faszystwu. Do tego wykształcenie średnie i wyższe było zbędne. Uruchomiono jedynie w dużych miastach szkoły handlowe, dostępne dla Polaków.

Do takiej 1-roczej Zawodowej Szkoły Handlowej w Stanisławowie zapisała się moja siostra. Do Stanisławowa dojeżdżała codziennie pociągiem, podobnie jak dwa lata wcześniej. Ponieważ było to bardzo uciążliwe, więc w pewnych okresach czasu mieszkała na stacji. Później pracowała jako księgowa w Monasterzyskach, w Rolniczej Spółdzielni Handlowej.

Część młodzieży w naszym miasteczku kształciła się na różnych nielegalnych kursach bądź korzystała indywidualnie z prywatnych nauczycieli. Ja przez cały czas pobytu Niemców, w miarę istniejących możliwości, kształciłem się o własnych siłach. Przede wszystkim korzystałem z książek siostry z poprzedniej ósmej klasy, na bieżąco zaś ze szkoły handlowej. Oczywiście, tylko z niektórych przedmiotów, takich jak matematyka, przyroda, geografia, język niemiecki. Ale również ze stenografii, której podręcznik miała siostra. Przez kilka miesięcy bardzo intensywnej nauki opanowałem biegle pismo stenograficzne wg systemu J. Polińskiego z połowy XIX wieku. Pisałem 100 słów na minutę, czyli z szybkością potocznej mowy. Ta niecodzienna, rzadko spotykana, umiejętność pozostała mi do dziś.

Zgłębiałem również podręcznik astronomii pożyczony od kolegi. Według map gwiazdnych rozpoznawałem gwiazdozbiory i gwiazd na niebie, a na podstawie tabel, podających deklinacje i rektascencje najlepiej widocznych planet, odszukiwałem ich położenie. Obserwacji dokonywałem w różnych

godzinach nocy. Wtedy starałem się nocować na stryżku, w budynku gospodarczym i by lepiej obserwować niebo, usuwałem kilka dachówek w dachu.

Chcąc przyswoić sobie słówka obcego pochodzenia z encyklopedii, przepisywałem wszystkie do dużego zeszytu. Podobnie, ucząc się niemieckiego, przepisywałem całe fragmenty z podręcznika. Do dziś mam te zeszyty zapisane maczkiem fioletowym atramentem.

Uczyłem się również gry na skrzypcach. Ojciec miał dobre, stare skrzypce jeszcze z czasów swej młodości. Znał kilka skocznych poznańskich melodii ludowych i od czasu do czasu grywał je ku pokrzepieniu ducha. Mnie lekcji gry na skrzypcach udzielał młody Janko Muzykant, jak go wszyscy zwali, grywający na weselach i zabawach w miasteczku. Nie znał on nut, toteż czytania nut nauczyłem się sam z podręcznika. Ostatecznie grywałem z nut, nawet z upodobaniem, piękne walce wiedeńskie Jana Straussa i inne melodie, ale najwyraźniej bez polotu i chropawo. Po prostu do skrzypiec, jak i zapewne do innych instrumentów, trzeba mieć słuch i talent. Mnie tego najwyraźniej brakowało.

Oczywiście, cała ta przypadkowa samoedukacja nie mogła zastąpić regularnej nauki w normalnym gimnazjum. Ale i tak znajdowałem się w korzystniejszej sytuacji niż wielu innych moich rówieśników, którzy nie mieli choćby dostatecznych warunków materialnych i czasu na jakąkolwiek naukę albo odpowiednich predyspozycji do samokształcenia się.

Wiele czasu poświęcałem też na rysowanie, zwłaszcza na malowanie akwarelowych obrazków. Niektóre z nich do dziś wiszą na ścianach mego mieszkania. Sporo czytałem, różne wypożyczone z biblioteki książki, ale też dwa roczniki „Kurieru Warszawskiego” z ostatnich lat przedwojennych. Były dla mnie kopalnią wiadomości o Polsce, których na bieżąco, jako zbyt młody, nie śledziłem.

Szczególnie interesowały mnie artykuły o gospodarczych problemach i rozwoju kraju. Nie były one zbyt budujące. Wiele pisano o realizacji kilku czy kilkunastu, obiektów przemysłowych w nowo tworzonym COP, tj. Centralnym Okręgu Przemysłowym, oraz o rozbudowie portu i miasta Gdyni. I to były niewątpliwie osiągnięcia. Lecz bardzo dużo było też relacji o panoszącym się w Polsce bezrobociu, świadczącym o mizernym stanie polskiej gospodarki w ogóle.

Jednak przede wszystkim pracowałem sezonowo w polu oraz w domu, pomagając rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa, będącego przecież podstawą naszego bytu. Do moich obowiązków doszły jeszcze krajanie tytoniu i wyrób papierosów. Tytoń, „uratowany” z palących się magazynów fabryki tytoniowej, kroilem na małej gilotynie na drobną krajankę. Można jej było używać do ręcznego skręcania papierosów. Papierosy robiłem małą maszynką, którą wypełniało się tą krajanką, a następnie wypychało tytoń do sklejonej bibułki. Te papierosy i tytoń to była nasza waluta, na którą zawsze znajdowali się chętni, zwłaszcza żołnierze.

Informacje ze świata uzyskiwaliśmy od zaprzyjaźnionego sąsiada p. Piotrowicza, który przychodził do nas często, aby pograć z rodzicami lub ze mną w szachy. Miał on ukryte radio i słuchał wiadomości nadawanych w języku polskim z Londynu. Narażał się bardzo, gdyż za posiadanie radioodbiorników w czasie okupacji niemieckiej groziła Polakom kara śmierci. Mielśmy jednakże w miarę wiarygodne informacje o tym, co dzieje się na frontach wojennych. Wiedzieliśmy, między innymi, że jeszcze latem 1941 zawiązana została Wielka Koalicja państw walczących przeciwko Niemcom, obejmująca głównie Wielką Brytanię i ZSRR, a wspomagana przez Stany Zjednoczone w ramach tzw. Karty Atlantycznej.

Radio londyńskie podawało też obszernie wiadomości o działalności emigracyjnego rządu londyńskiego premiera Władysława Sikorskiego. W lipcu 1941 roku, po wznowieniu w Londynie polsko-radzieckich stosunków dyplomatycznych, zawarł on układ, w ramach którego miała powstać w ZSRR samodzielna armia polska. Cała społeczność polska w okupowanym kraju bardzo sprzyjała Sikorskiemu i wiązała z nim swe nadzieje na odbudowę państwa polskiego. Natomiast powszechnie potępiano rządzących do 1939, obarczając ich winą za złą gospodarkę, błędną politykę i klęskę wrześniową.

W ogóle często odwiedzali nas zaprzyjaźnieni sąsiedzi i znajomi, gdyż rodzice prowadzili, można by powiedzieć nieco przesadzając, „otwarty dom”. Celem tych wizyt było zaciąganie porady w sprawach kulinarnych u mamy i gospodarczych u ojca, jakieś drobne pożyczki, wzajemna wymiana usług i towarów, wreszcie podzielenie się informacjami lokalnymi i ze świata. Mama zawsze wyczarowywała dla gości skromny poczęstunek, często spotkania zwińczone były grą w szachy, a zwłaszcza w karty. Grało się w tysiąca, sześćdziesiąt sześć, rzadziej w oczko lub skata za pieniądze. Ojciec wtedy przeważnie wygrywał, bo miał w tej karcianej profesji duże wyczucie i szczęście.

Niekiedy kupowaliśmy gazety, zwykle lwowskie. Nazywało się je szmatławcami lub gadzinówkami. Również podobnie niesympatycznie wyrażano się o megafonach, rozwieszonych na słupach w rynku i nadających wiadomości dla ludności po polsku i ukraińsku. Nazywano je szczekaczkami.

Chodziłem też, chociaż bardzo rzadko, do kina. Filmy poprzedzane były przez tygodniki z najnowszymi wiadomościami z frontów. Zaczynały się one od słów: „Naczelne dowództwo Wehrmachtu informuje...”. Niemcy straszliwie blefowali, na przykład własne cofanie się na froncie było zawsze tylko zajmowaniem nowych, dogodniejszych pozycji, a swe zwycięstwa przeceniali.

Pamiętam tylko jeden film pełnometrażowy z tego okresu: melodramat w bawarskiej scenerii pt. „Krzywoprzysięstwo”. Film kończył się sceną zasypiania krzywoprzysięzcy lawiną kamienną, z której wystawała dłoń z palcami, złożonymi jak do przysięgi.

Nadal przyjaźniłem się z Jurkiem, swym dotychczasowym najlepszym kolegą szkolnym, ale spotykaliśmy się rzadko. Również przygasły moje sąsiedzkie koleżeństwa.

Jesienią 1941 nawiedziło Monasterzyska nieduże trzęsienie ziemi, którego epicentrum znajdowało się niedaleko, w Karpatach rumuńskich. Tu i ówdzie w mieście były niewielkie szkody. Trzęsienie miało miejsce w nocy. Obudziliśmy się wszyscy, odczuwało się wyraźnie drżenie sprzętów i kołysanie lampy. Trwało to z przerwami przez kilka minut i sprawiało niesamowite wrażenie, uczucie strachu oraz bezradności i bezsilności wobec zjawiska.

Zima tego roku była bardzo mroźna i długotrwała. Pod tym względem wyróżniała się nawet w stosunku do ówczesnych zim, zwyczajnie zawsze mroźnych i śnieżnych. Mrozy dochodziły do czterdziestu kilku stopni poniżej zera, wszelkie rzeki i stawy pokrywała gruba warstwa lodu. Mimo to zdarzało się, że chodziłem bez nakrycia głowy, bo nie podobała mi się kolorowa wełniana marusarzówka z pomponikiem, zrobiona przez mamę. W efekcie odmroziłem sobie uszy, które potem przez wiele lat czerwieniały przy zmianach temperatury.

Ojciec zainstalował wtedy w jednym pokoju dodatkowy żelazny piecyk, tzw. żeleźniak. Paliliśmy w nim do czerwoności, spaliliśmy też pod grubymi pierzynami. Kury trzymaliśmy w przedsiönku, natomiast krowa w obórce opatulona była kocami. Również drzewka owocowe w ogródku ojciec ogacił wiechciami słomy. Szyby w oknach pokrył gruby, wzorzysty lód, w którym ja, codziennie rano, wydmuchiwałem ciepłym oddechem dziurkę-wizjer na oszroniony świat.

Jeszcze większe mrozy panowały w głębi Rosji, gdzie na rozległych terenach od Murmańska po Morze Azowskie trwały gigantyczne zmagania milionowych armii państw Osi i ZSRR. Właśnie te siarczyste mrozy i śniegi przyczyniły się w grudniu do pierwszej dużej porażki Niemców pod Moskwą. Liczyli oni bowiem na pokonanie Rosji w błyskawicznej wojnie przed nastaniem zimy i nie przygotowali się do niej dostatecznie. W konsekwencji „generał Mróz” sprawił, że unieruchomione zostały ich czołgi i wszelkie pojazdy mechaniczne, żołnierze zaś bez ciepłego umundurowania po prostu zamarzali w okopach. W Monasterzyskach wówczas policja dokonywała rewizji po domach i rekwirowała kozuchy, futra itp.

W grudniu 1941 nastąpił też nowy etap II wojny światowej – gdy Japończycy zbombardowali bazę morską USA w Pearl Harbor na Hawajach, a następnie rozpoczęli podbój południowo-wschodniej Azji – i walk morskich na Pacyfiku. Spowodowało to bezpośrednie przystąpienie USA do wojny przeciwko Japonii oraz III Rzeszy i jej sojusznikom.

Po ciężkiej zimie wiosna 1942 przebiegała pod znakiem wielkich roztopów i powodzi. Wylał również potoczek, płynący obok naszego domu, zalewając łąki, położone naprzeciwko naszego domu. Na przednówku w całym dystrykcie galicyjskim zapanował głód. Moja rodzina nie odczuwała tego prawie zupełnie. Mieliśmy zapasy własnej kukurydzy, pszenicy, słoniny, a krowa, kury, wreszcie ogródek warzywny żywiły nas na bieżąco.

Jednakże rodziny miejskie, zdane na ciągle zaopatrywanie się w żywność w sklepach, znalazły się w wielkich tarapatach. Ustały prawie całkowicie dostawy produktów rolnych ze wsi, gdyż były one bezlitośnie grabione przez specjalne oddziały niemieckie, które rekwirowały całą żywność, jaką znajdowały w obejściach. Za jej ukrywanie Niemcy stosowali różne drakońskie kary ze śmiercią włącznie. Głodowała więc także część ludności wiejskiej i brakowało potem ziarna na siew.

Na skutek panującego głodu zmarły w dystrykcie tysiące ludzi. Głód dotknął drastycznie również mieszkającą niedaleko nas mieszczańską rodzinę, mającą czworo dzieci. Wynajmowali oni spory ogród, ale zawsze uprawiali go nieumiejętnie. On był z profesji notariuszem i nie miał możliwości pracy zawodowej. Żona miała arystokratyczne pochodzenie i też nigdzie nie pracowała zarobkowo. Byli bardzo niezaradni życiowo, jak na tamte bezlitosne czasy. Udzielaliśmy im trochę pomocy żywnościowej, ale ich było sześcioro i potrzeby mieli wielkie.

Pamiętam, jak przychodził do mnie codziennie najstarszy, już około 20-letni syn i zabierał worek ściętej przeze mnie sierpem na brzegu potoku, a następnie pokrajanej na sieczkarni, świeżej pokrzywy. Dziwiłem się, że nigdy w tych czynnościach mi nie pomagał, a tylko stał i patrzył, jak ja, pracuję. Ja na jego miejscu nie zachowywałbym się tak beczynnym, ale nic mu nie mówiłem. Na tej pokrzywie i na zmarzniętych, źle przechowywanych ziemniakach gotowali zupę, która stanowiła ich podstawowe pożywienie. Wszyscy byli popuchnięci z głodu, mieli duże, wzdęte brzuchy i pomarszczone, żółte twarze.

Wkrótce dopełnił się tragiczny los ludności żydowskiej w Monasterzyskach i w całym dystrykcie. Cały czas od sierpnia 1941 do lata 1942 rodziny żydowskie przesiedlano i wywożono z miasta do jakichś robót, najczęściej zaś do obozów koncentracyjnych, o których istnieniu oni sami, jak również pozostała ludność, właściwie nie wiedzieli. Latem 1942 specjalne niemieckie oddziały Einsatzkomando przystąpiły do całkowitej likwidacji pozostałej ludności żydowskiej. Umęczonych ludzi zabijano strzałami

z karabinów na cmentarzu żydowskim, położonym na skraju miasta, lub na miejscu, w domach i na ulicach. Po tych potwornych pacyfikacjach prowadzonych przy udziale policji ukraińskiej do października 1942 roku w Monasterzyskach przy życiu pozostało bardzo niewiele osób narodowości żydowskiej.

Część z nich ukrywała się w polskich domach, część uciekła w okoliczne lasy.

Przez jakiś czas i u nas ukrywał się pewien lekarz, zbiegły wcześniej z Berlina, mówiący tylko po niemiecku. Zobaczyłem go przypadkowo przerażonego, ukrytego w sianie na stryżku. Nie wiem, jak długo u nas przebywał i dokąd potem się udał. Nie pytałem rodziców, nie powiedziałem im nawet, że wiem, że się u nas ukrywa. Znałem go stąd, że jesienią 1941 był u nas w domu, sprowadzany przez naszego sąsiada. Panowała wówczas epidemia grypy i lekarz ten leczył wszystkich chorujących oraz zapobiegał chorobie. Stosował własną, bardzo prostą metodę leczenia. Osluchiwał przez słuchawki lekarskie pacjenta i następnie rozprasowywał określone partie pleców gorącym żelazkiem.

Zapewne rodzice bardzo się obawiali nie tylko rewizji policji, lecz również jednego z sąsiadów, Polaka-konfidenta, który poszukiwał ukrywających się Żydów. W jego obecności nie wolno mi było nic mówić. Zwykle mama zabawiała go grzecznościową rozmową, unikając wszelkich dygresji politycznych, gdyż miał on faszystowsko-nacjonalistyczne przekonania.

Raz przeprowadził u nas rewizję żandarm niemiecki w asyście policjanta ukraińskiego. Ja byłem wówczas w ostatnim pokoju i przechodziłem na werandę, gdy zobaczył mnie policjant, wchodzący akurat do tego pokoju. Najwidoczniej pomyślał, że jestem żydowskim chłopcem i wycelował we mnie z karabinu. Miałem bowiem kręące się włosy, typowe dla narodowości żydowskiej. Lecz ojciec, idący obok, złapał za karabin i uchylił go w dół, krzycząc po niemiecku: „Das ist mein Sohn!”.

Z powodu swego wyglądu nie wychodziłem w ogóle z domu, w tych okropnych miesiącach. Na pola przez miasto udawałem się zawsze co najmniej w towarzystwie ojca. Natomiast, w domu na strychu miałem bardzo przemyślny schowek. Otóż drewniana weranda, przybudowana od frontu do budynku, miała sufit na wysokości około 70 cm poniżej polepy strychu. Zrobiłem nad nim drugi stropik z desek i wciskałem się w tę przestrzeń, nasuwając kilka luźnych desek na siebie. Był to dobry schowek przed ludźmi, ale nie przed psem.

Z tego okresu pamiętam też nieludzką scenę z głównej ulicy miasta. Przechodząc zza muru fabryki tytoniowej na główną ulicę miasteczka, zobaczyłem biegnącego truchtem starego Żyda, do którego doskakiwał wielki czarny wilczur, gryząc go w krwawiące łydki. W niewielkiej odległości szli sprężystym krokiem dwaj młodzi, przystojni i wymuskani podoficerowie niemieccy, najwidoczniej bardzo zadowoleni z siebie oraz rechocący coś głośno. Kierowali się wszyscy w stronę nieodległego cmentarza żydowskiego.

Spółeczność polska była bezradna wobec okrutnej eksterminacji ludności żydowskiej. Sama zresztą była sparaliżowana i zagrożona przez mnożące się wrogie wystąpienia podziemia ukraińskiego.

Rok 1942 był nadal przychylny państwu Osi, przynosząc im dalsze wielkie zwycięstwa na prawie wszystkich frontach II wojny światowej. Oczywiście te wszystkie wspaniałe zwycięstwa oręża niemieckiego oglądaliśmy niezwłocznie w kolejnych tygodnikach filmowych. Pamiętam na przykład, jak w jakiejś kronice pokazano wejście grupy żołnierzy niemieckich na Elbrus, najwyższy szczyt Kaukazu. A potem niekończące się kroniki o walkach w Stalingradzie.

Pojedyncze, rozproszone napady i mordy Polaków, dokonywane przez Ukraińców, zdarzały się przez cały czas okupacji niemieckiej. Były one organizowane przez różne nacjonalistyczne organizacje ukraińskie, z których największą stanowili banderowcy pod kierownictwem Stepana Bandery. Stąd, już do końca, to jest do 1944 roku, o wszystkich napadach na Polaków mówiło się, że są dziełem banderowców.

Między innymi, pewnej nocy zimą 1941/42, uprowadzeni zostali ze swych mieszkań w Monasterzyskach dwaj Polacy, lekarz i nauczyciel, a następnie wywiezieni z miasta na saniach. Wszyscy domyślaliśmy się, że było to dzieło banderowców, ale wszelkie interwencje na policji ukraińskiej nie odnosiły żadnego skutku. Dopiero po wielu tygodniach odnaleziono w okolicznym lesie zmasakrowane torturami zwłoki obu porwanych.

Pacyfikacje ludności polskiej na dużą skalę nastąpiły po utworzeniu pod koniec 1942 skrajnie nacjonalistycznej Ukraińskiej Powstańczej Armii. Te masowe rzezie ludności polskiej rozpoczęły się wprawdzie na Wołyniu. W drugiej połowie 1943 ogarnęły pozostałe województwa: stanisławowskie, tarnopolskie i lwowskie. Spalone zostały prawie wszystkie wsie polskie, a ich ludność, która wcześniej nie uciekła do miast, wymordowana w okrutny sposób. Napady te zwykle przedstawiano w lokalnych gazetach jako dzieło band bolszewickich. Niektórzy publicyści, nie tylko ukraińscy, próbują dzisiaj powoływać się na te enuncjacje z ówczesnych niemieckich szmatławców.

UPA z równą zawziętością likwidowała uciekinierów żydowskich, chroniących się po lasach, jak i, zwłaszcza w późniejszym okresie, wszelkie oddziały partyzantki antyniemieckiej: polskie, rosyjskie, a także ukraińskie. Było też powszechnie wiadomo, że UPA zaopatrywana była w broń i amunicję przez Niemców. Chyba istniały również wzajemne porozumienia, że ma ona wolną rękę na terenach

wiejskich, lecz nie wolno jej palić miast. Inna rzecz, że faktycznie ludność polska w miastach zdecydowanie przeważała i mimo represji policji ukraińskiej i niemieckiej dysponowaliśmy dużą ilością broni i strukturami samoobrony. W tym główną rolę spełniała konspiracyjna Armia Krajowa. Broń kupowana była „na lewo” od pojedynczych Niemców.

Ten bezmiar nienawiści, ujawnionej przez Ukraińców do Polaków, był dla wielu trudny do zrozumienia. Istniejący pomiędzy obu narodowościami podział społeczny stwarzał, już sam w sobie, poczucie odrębności i krzywdy oraz konflikty między obu nacjami. Dokładała się do tego błędna polityka państwa polskiego w stosunku do mniejszości ukraińskiej.

Nikt nie szykanował jej za wyznawanie odrębnej wiary prawosławnej czy grekokatolickiej. Rozwijały się różnego rodzaju ukraińskie stowarzyszenia społeczne, ruch spółdzielczy, przybywało szkół wszystkich typów i wzrastała liczebność elity ukraińskiej. Właśnie część tej elity, jeszcze przed wojną, związała się z Niemcami hitlerowskimi, licząc na uzyskanie niepodległości przy ich pomocy. Szczególnie blisko współpracowała z Niemcami, utworzona we Wiedniu w 1929, terrorystyczna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Prezentowała ona skrajny nacjonalizm, przejęła faszystowskie metody działania, a w późniejszym okresie postawiła na eksterminację ludności polskiej. Dzieło to realizowały właśnie kurenie UPA.

Zimą 1943/44 spalona została nocą duża, polska wieś Korościatyn, położona około 10 kilometrów od Monasterzysk. Widzieliśmy z miasta lunę i domyśliliśmy się, że banderowcy palą kolejną wieś. Na stacji kolejowej akurat stał mały pociąg pancerny. Gdyby pojechał od razu w kierunku wioski, która leżała przy torach kolejowych, to może Niemcom udałoby się zmniejszyć rozmiary tragedii. Ale pociąg pojechał dopiero rano o świcie, chyba tylko po to, aby sfotografować pogorzelisto. Zdjęcia te widziałem za kilka dni w gazecie z opisem, że napadu dokonała banda bolszewicka. Zginęło wówczas ponad 100 mieszkańców wsi, których popalone zwłoki nazajutrz oglądała moja siostra, wysłana rozkazem AK, by określić skutki napadu banderowców.

W mieście, zwłaszcza na peryferyjnych uliczkach, Polacy organizowali samoobronę. Polegała ona na tym, że przez całe noce czuwały warty i patrole, sprawowane rotacyjnie przez mężczyzn. W określonych punktach pozawieszane były gongi, to jest sztaby żelazne z przywiązany metalowymi prętami, które miały służyć do ogłaszania alarmu. Mieszkańcy ulicy na noc chronili się do większych murowanych domów. Na noc też wyciągano ze schowków wszelką możliwą broń do ewentualnej obrony.

My nocowaliśmy w naszym własnym domu, śpiąc w ubraniach, niekiedy na poddaszu. Ojciec miał zawsze broń palną, co najmniej karabin, pistolet i skrzynkę granatów, które w nocy leżały na strychu obok worków z kukurydzą. Powyżej w dachu przygotowane były otwory do ostrzału, które w każdej chwili można było wykonać przez usunięcie kilku dachówek.

Sprawujący wartę mieli zwykle siekiery do bezpośredniej obrony. Pewnej księżycowej nocy, gdy byłem na takiej warcie, zobaczyłem po drugiej stronie potoku przemykające sylwetki. Za potokiem była łąka, otwarta przestrzeń, i właśnie stamtąd jedynie mogliby się podkraść napadający. Uderzyłem w gong kilka razy, od razu odezwał się też gong na drugim końcu ulicy. Lecz mój tato, będący kilkanaście metrów od nas, zawołał „cicho!” i natychmiast zamilkliśmy. Za chwilę wyjaśniło się, że to biegli sąsiedzi, ojciec z synem, którzy gdzieś zasiedzieli się i wracali do domu prawie o północy. Niedługo potem zawitał do nas mały oddział AK z centrum miasta, kilku uzbrojonych młodzieńców, którymi dowodził Adaś, kolega mej siostry z ich „paczki”.

Broń palną na początku okupacji kupowało się, zwykle bez większej trudności, od Węgrów, którzy stacjonowali w mieście. Później głównymi dostawcami byli żołnierze niemieccy. Mój ojciec miał w tej dziedzinie spore osiągnięcia. Jak się dowiedziałem dopiero wiele lat później, skupował broń dla lokalnego oddziału AK.

Znając świetnie język niemiecki, wciągał pojedynczych Niemców w dłuższe rozmowy. Jeśli zorientował się, że rozmówca narzeka na swój los, złorzeczy na wojnę i Hitlera, to proponował delikatnie zakup broni. I często transakcje dochodziły do skutku za tytoń, bimber, kielbasę czy pieniądze. Oczywiście, nawet w rodzinie nic nie wiedziliśmy, ojciec zresztą nigdy nie był gadułą i potrafił utrzymać tego rodzaju sprawy w absolutnej tajemnicy.

W związku z tym „obrotem” bronią mama przeżyła raz chwilę grozy. Pewnego dnia, będąc sama w domu, wpuściła nierozważnie uzbrojonego żołnierza niemieckiego. Gdy już wszedł do sionki, zorientowała się, że na drzwiach wejściowych wisi karabin. Wiele nerwów kosztowało ją, żeby, zasłaniając sobą ten nieszczęsny karabin, wyperswadować Niemcowi gestykulacją oraz we wszystkich słowiańskich językach, aby sobie poszedł.

Co najmniej od połowy roku 1943 stało się dla nas Polaków widoczne, że Niemcy wojny nie wygrają. Przegrywali wszak i cofali się na wszystkich frontach, zwłaszcza na froncie wschodnim. Zbliżał się on do nas coraz bardziej. Słyszeliśmy też wiele o nasileniu partyzanckich akcji, skierowanych głównie przeciwko liniom komunikacyjnym. Niemcy wzmocnili swe posterunki na stacji kolejowej, w pociągach wojskowych przed lokomotywą doczepiano wagon-lore, wypełniony kamieniami, który miał przejąć na siebie wybuch partyzanckiej miny.



W lipcu w pobliżu miasta przeszły wielotysięczne oddziały zgrupowania partyzanckiego Kowpaka w swym rajdzie z Wołynia do Karpat Wschodnich. W obawie, że oddziały te wejdą do Monasterzysk, na kilka dni z miasteczka ewakuowano administrację i żandarmerię niemiecką oraz policję ukraińską, po prostu uciekli oni do Stanisławowa.

W tym mniej więcej czasie dotarła do nas wiadomość o śmierci premiera polskiego rządu emigracyjnego generała Władysława Sikorskiego w katastrofie lotniczej w Gibraltarze. Wszyscy Polacy byli bardzo poruszeni tym tragicznym wydarzeniem. Przez długi czas snuto rozmaite domysły na temat przyczyn utonięcia samolotu, na którym generał wracał z Bliskiego Wschodu do Londynu, tuż po jego starcie z lotniska wojskowego w Gibraltarze.

Po ukończeniu 17 lat musiałem wyrobić sobie dowód osobisty, czyli kenkartę. Odbite w niej zostały odciski palców wskazujących obu dłoni i zamieszczone zdjęcie, wykonane przez fotografa na rynku. Wyglądałem na nim jak zbój spod ciemnej gwiazdy.

Wczesną wiosną 1944 front przybliżył się gwałtownie i jakby nieoczekiwanie. Wejście Rosjan do miasta w końcowych dniach marca dokonało się zupełnie nietypowo. Nie było żadnych nalotów, wycofywania się jakichś większych oddziałów niemieckich, wysadzania mostów itp. Normalny dzień, trochę jakiejś strzelaniny i nagle ktoś biegnie ulicą i krzyczy: „Rosjanie w mieście!”

Pobiegnęłam wraz z innymi do szosy przy fabryce tytoniu. Zobaczyłem tam rzeczywiście kilku młodych żołnierzy rosyjskich, z pepesami zawieszonymi na sznurkach, jadących na małych, niepozornych konikach. Takie jakby niepoważne wojsko.

Wyjaśniło się szybko, że miasto zostało zajęte nie przez regularny front, lecz konne oddziały partyzanckie, które przeszły bokiem, lasami, od strony Tarnopola. Natomiast główne siły rosyjskie znajdowały się daleko, w rejonie rzeki Zbrucz, gdzie pod Kamieńcem Podolskim okrążonych zostało 20 dywizji niemieckich.

Minęły dwa dni i właściwie nic się nie działo. Nagle w trzecim dniu zaroilo się od wojska jak w ulu. Od rana żołnierze i cywile zaczęli z dwóch stron naszego domu kopać spiesznie rowy strzeleckie, w rejonie stacji przemieszczały się oddziały konne, a na naszej ulicy wszędzie było pełno Rosjan na kwaterach. U nas, na podwórku, czyszczenie broni, w kuchni mama gości kilku żołnierzy jakimś posiłkiem i wymienia tytoń na „drugi front”, czyli na konserwy amerykańskie. Teraz ojciec jest niemową, natomiast mama swobodnie rozmawia po rosyjsku.

Ja pętałem się po ogródku, gdy nagle jakiś młody żołnierz zawołał mnie do siebie. Gdy podszedłem do niego, dał mi swą świeżo przeczyszczoną pepeszę, mówiąc: „Pastrielaj, malczik!”. Ja żadnej broni się nie brzydziłem, przycisnąłem prawą ręką pepeszę do ramienia i wystrzeliłem serie kilku pocisków w powietrze. Nawet nie poczułem specjalnie odrzutu. Było to moje pierwsze i ostatnie ostre strzelanie w życiu.

Okolo godziny drugiej po południu tuż nad naszym domkiem i stacją kolejową przeleciał nisko dwupłatowy kukuruźnik. Kukuruźnikami nazywało się powszechnie radzieckie dwupłatowe samoloty wielozadaniowe, głównie jednak zwiadowcze. Mogły one lądować na bardzo małej powierzchni, na niedużej łące, nawet na polu kukurydzianym, stąd ich nazwa.

Za godzinę zrobił się wielki ruch za stacją kolejową. Zaczynało się tam nieduże osiedle-przedmieście, złożone z kilkudziesięciu domków. Z pierwszych uliczek, z ogrodów i sadów, z wielkim pośpiechem wyjeżdżały zaprzęgnięte w pary koni dziesiątki dział. Również na stacji jakby było mniej kawalerii.

Przed wieczorem, gdy jeszcze było widno, usłyszeliśmy warkot samolotów. Od północy nadleciała eskadra siedmiu niemieckich jednosilnikowych bombowców nurkujących Ju-87, zwanych powszechnie sztukasami. Za chwilę rozwinęły się w linię i rozpoczęły, pikując ze świstem, bombardowanie terenów za stacją kolejową. Zmasakrowały całkowicie te właśnie uliczki i ogrody, gdzie niedawno rozlokowane były baterie artylerii radzieckiej. Oczywiście ten kukuruźnik popołudniowy z czerwoną gwiazdą to musiał być samolot zdobyty i pilotowany przez Niemców.

Wszędzie było dużo wojska. Żołnierze, siedząc w okopach czy schowani za murami domów, strzelali ze swoich pepesz do bombowców, ale bez widocznego rezultatu, gdyż samoloty te były opancerzone. Schroniliśmy się na początku nalotu do sąsiedniego budynku, nieco solidniejszego od naszego. Tam w piwnicy siedziało kilkanaście osób, zbitych w gromadkę. Jakaś kobieta lamentowała, niektórzy się modlili. Ojciec stał przed wejściem do tego pomieszczenia piwnicznego, które z tej strony wychodziło na poziom ogrodu i, paląc papierosa, obserwował spokojnie niecodzienne widowisko.

Samoloty nadlatywały znad naszego budynku, pikowały, zrzucały bomby 200-400 metrów od nas, po czym zakręcały w lewo, robiąc kolejne okrążenie. Po kilku okrążeniach, gdy już pozbyły się bomb, sztukasy zaczęły ostrzeliwać z karabinów maszynowych stację kolejową oraz tory i łąkę, po której pędziły we wszystkich kierunkach dziesiątki koni. Stałem za ojcem i do dzisiaj mam w oczach ten cyrk powietrzny, wybuchy i te biedne konie. Tato przepędził mnie, gdy rozpoczęło się ostrzeliwanie z karabinów maszynowych.

W wyniku nalotu zginęło kilkunastu mieszkańców, bombardowano osiedla, zabitych zostało dziesiątki koni, ale bodaj żaden żołnierz rosyjski. Po prostu wiedzieli jak i w jakim momencie chować się przed bombami. Zaraz potem żołnierze odeszli z kwater i po pewnym czasie zrobiło się jakoś cicho, co bardzo nie podobało się rodzicom. Położyliśmy się do snu w ubraniach. Oczywiście co ważniejsze rzeczy, dawno spakowane pochowaliśmy już wcześniej w piwnicy.

W nocy, na kilka godzin przed świtem, rozpoczął się rzadki ostrzał artyleryjski miasta. Słysząc też było szum motorów od strony Góry Buczackiej. Stamtąd więc jechały czołgi ostrzeliwujące miasto. Niebawem usłyszeliśmy gardłowe nawoływanie po niemiecku. Tyraliera żołnierzy po ciemku, świecąc latarkami elektrycznymi, szła przez ulice i ogrody. Nie było żadnej walki, nikt się nie bronił w świeżo wykopanych okopach. Najwykłej Rosjanie opuścili miasto, wracając w te same lasy, którymi przedtem przyszli.

I znów byliśmy pod panowaniem niemieckim. Lecz sytuacja była już inna, teraz już stale w mieście rozlokowane były oddziały wojskowe. Wrócili Niemcy, ale równocześnie przybliżył się front wojenny.

Za kilka dni ponownie zaroilo się od wojska, którego było zapewne znacznie więcej niż mieszkańców. Trafiło do nas na kwaterę kilkunastu Niemców, zajmując oba pokoje, my spaliśmy w kuchni. Otóż te oddziały, które odbiły Monasterzyska, wchodziły w skład kilku dywizji pancernych, ściągniętych z Zachodu w celu odblokowania okrążonej armii niemieckiej pod Kamieńcem Podolskim. Ci zaś, co teraz chmarą obsiedli miasto, to byli szczęśliwcy, którzy wyszli z tego okrążenia i regenerowali swe siły i kondycję na kwaterach za frontem.

Kwaterujący u nas żołnierze kąpali się w beczce z gorącą wodą, prali swą bieliznę i iskali wszy z koszul, siedząc na ławce w ogrodzie. Jednemu z nich ojciec powiedział, że ma wszy wielkie jak Hackenkreuz. Ten obruszył się i zrobił ojcu dziką awanturę.

Pamiętam też kilka innych scen z tych kwater. Byłem w kuchni, pomagając mamie w gotowaniu posiłku dla żołnierzy, którzy siedzieli gęsto wokół stołu. Coś jedli i pili, zachowywali się bardzo hałaśliwie.

W pewnym momencie jeden drugiemu odsunął krzesło, gdy ten wstał na chwilę. Siadając, runął na podłogę, po czym zerwał się, złapał to krzesło i zamachnął się z wściekłością na kolegę. Bijatyka wydawała się nieunikniona. Ale znów ojciec był na miejscu, wyskoczył z sąsiedniego pokoju i złapał mocno za to nieszczęsne krzesło i krewkiego wojaka za rękę, krzycząc coś po niemiecku. Sytuacja się rozładowała.

Tu muszę powiedzieć, że w kontaktach z Niemcami tato prawie zawsze chwalił się i pokazywał swój żelazny krzyż z I wojny światowej. Dostał go za wyniesienie z pola walki pod Fort Douaumont, spod ostrzału artyleryjskiego, rannego majora niemieckiego. Niemcy byli bardzo wyczuleni, żeby nie powiedzieć bałwochwalczy, w stosunku do wyższych odznaczeń wojskowych. Widziałem wielokrotnie, że po takiej prezentacji od razu odnosili się do ojca z wyraźnym szacunkiem. Poza tym żołnierze przeważnie byli młodzi, ojciec zaś miał ponad 40 lat, był krzepki i bardzo silny.

Ta sympatia do ojca miała też zrozumiałe podłoże psychologiczne. Otóż żołnierze niemieccy przez całe miesiące nie mieli szans na zwyczajne, ludzkie porozumiewanie się z napotkaną ludnością. Poza oczywistą wrogością istniała nieprzekraczalna bariera językowa. Sami znali niewiele słów rosyjskich czy polskich, jak „mliko, jajka, kura, Iwan, dawaj, prendko” itp. Tubylcy zaś rozumieli takie słowa niemieckie, jak „Brot, Butter, Tabak, Schwein, raus, schnell, bitte, Strasse” i kilka innych.

A tu nagle, na swej kwaterze, mogli swobodnie porozmawiać w swoim własnym języku. Zapytać, gdzie właściwie są, jak wielkie miasto, czy jest kino, gdzie można kupić papierosy itd. Mogli mówić o swych stronach ojczystych, a jak znalazł się jakiś wojak z Westfalii, gdzie ojciec przebywał kilka lat – to nie było końca wspomnieniom, oczywiście przy kieliszku bimbrowa i odpowiedniej zakąsce.

Żołnierze prawie zawsze starali się odwzajemnić za kwaterę. Płacili pieniędzmi, zapalniczkami, wiecznymi piórami, żołnierskimi butami. Te ostatnie mieli zapewne po swych zabitych kolegach.

Wojsko na kwaterach ciągle się zmieniało. Pamiętam, jak raz ojciec z jakimś niemieckim podoficerem stali przed domem i patrzyli przez lornetkę na egzekucję kilku wyłapanych Żydów, dokonywaną na cmentarzu żydowskim, widoczną z odległości kilkuset metrów. Ja nie mogłem patrzeć i uciekłem do domu. Wzburzony Niemiec mówił głośno, że takim postępowaniem Hitler wojny nie wygra.

Kolejnym zakwaterowanym u nas żołnierzom miałem przynieść wiadro wody z potoku. Robiłem to bardzo powoli, gdy jeden z nich wyszedł przed drzwi na schody i zaczął mnie z krzykiem popędzać. Ja nadal guzdrałem się, on cofnął się do przedpokoju, wrócił z karabinem i wycelował we mnie z odległości około 7 metrów. I znów ojciec wyskoczył z sionki, złapał od tyłu za karabin, wyrwijąc go Niemcowi i krzycząc, jak ongiś: „Das ist mein Sohn!”

No i jak taka scena mogłaby się zakończyć, gdyby ojciec nie mówił perfektnie po niemiecku, gdyby nie budził respektu fizycznego i nie budował wcześniej swego autorytetu Krzyżem Żelaznym czy innymi wspomnieniami z I wojny światowej i wieloletniego pobytu w Niemczech.

Od połowy kwietnia słyszeliśmy daleki huk armat. Tb front przybliżył się do nas na odległość około 20 kilometrów i następnie ustabilizował się na kilka miesięcy na linii rzeki Seret i miasta Buczacza. Zostało ono poważnie zniszczone, a większość ludności uciekła, zatrzymując się częściowo w Monasterzyskach.

Od tego mniej więcej czasu rozpoczęły się prawie conocne bombardowania miasta. Gdy tylko była pogodna noc, nad miasto nadlatywały pojedynczo, na niedużych wysokościach, rosyjskie kukuruźniki, tym razem w charakterze nocnych bombowców. Niekiedy na tle nieba, w świetle księżyca, widać było ciemne sylwetki maszyn. Leciały one z jednostajnym terkotem i po oświetleniu terenu flarami, spływającymi powoli na spadochronach, zrzucały pojedyncze bomby.

Te samoloty zabierały tylko małe bomby, właściwie granaty, oraz bomby zapalające, które pilot wyrzucał przez burtę. Nie mogły więc one zrobić jakiegś większej szkody. Ale były bardzo celne, bo zrzucano je z wysokości kilkudziesięciu metrów i przy małej szybkości samolotów.

Główną rolą tych nocnych bombardowań było oddziaływanie psychologiczne na bombardowanego przeciwnika. Dlatego Niemcy nazywali te samoloty Nervensaeger, jak również Drehmaschine. Strzelali niekiedy do nich pociskami z karabinów maszynowych, ale wtedy wyłączały one silniki i dalej leciały bezszelestnie, by po kilkuset metrach na prawo czy lewo znów włączyć silniki. A za chwilę, znów bezszelestnie, nadlatywały nad miejsce, skąd były ostrzeliwane, i zrzucały swe bombki. Specjalnie bombardowana była stacja kolejowa i wagony na torach. Między innymi spłonął drewniany magazyn, wcześniej wybudowany przez Niemców, oraz rozbitych zostało wiele wagonów.

Te bombowce dawały się, oczywiście, bardzo we znaki również ludności cywilnej. Wielekroć z nastaniem nocy kryłem się w okopie koło naszego domu i biegałem z jednego końca na drugi, w zależności od tego, z której strony dochodził warkot samolotu.

Raz to nawet wybraliśmy się we dwójkę z kolegą Jurkiem na noc za miasto, żeby przespać się spokojnie na jakimś odludziu. Rzeczywiście znaleźliśmy jakąś samotną stodołę, było tam już kilkanaście osób, błędzących jak my. Ale ledwo umościliśmy sobie legowisko, rozległ się jeden, drugi warkot, huk bomby i niedaleko zapłonął jakiś obiekt czy stóg siana. Nigdy więcej nie ryzykowałem takich nocnych spacerów i raczej spałem w piwnicy. Oczywiście w słotne noce mieliśmy święty spokój. I tylko armaty mruczały gdzieś daleko na wschodzie.

W dzień zdarzały się naloty pojedynczych lub kilku samolotów szturmowych. Przelatywały jak błyskawica na małej wysokości nad miastem i strzelały z armatek i karabinów maszynowych w upatrzone miejsca. Te szturmowce Niemcy nazywali Schwarzes Tod, gdyż rzeczywiście były groźne i pomalowane na czarno.

Raz miałem wrażenie, że pilot mnie wziął na celownik. Kręciłem się swobodnie po podwórku, bo samolot odleciał i był już daleko, gdy nagle bezgłośnie wrócił niziutko nad ziemią i splunął serią pocisków, które zaświstały mi jazgotliwie nad głową. Huk przelatującej maszyny usłyszałem z opóźnieniem, kiedy już uskoczyłem za róg domu.

Mijały tygodnie i miesiące i coraz powszechniej Polacy w mieście stawiali sobie pytanie: Co dalej robić? Z jednej strony ciągła obecność dużych ilości wojska i budowane linie obronne świadczyły, że gdy ruszy front, to miasto może bardzo ucierpieć. Wszyscy pamiętaliśmy, jak było w Buczaczu. Z drugiej strony stawało się coraz bardziej jasne, że powstanie tu z powrotem radziecka Ukraina, a nie Polska, o której mówiło się, że zostanie przesunięta na zachód.

Baliśmy się też nadal pogromów ze strony nacjonalistów ukraińskich. Wprawdzie w tym czasie się uspokoili, ale raczej tylko dlatego, że wszędzie było pełno wojska, i to frontowego, które nie bawiłoby się z uzbrojonymi bandami w jakieś gry polityczne.

My swe pola obsialiśmy, mieliśmy krowę, dom – trudno było zdecydować się na pozostawienie tego wszystkiego i wyjechać z Monasterzysk. A właśnie od maja Niemcy zgodzili się na wyjazdy Polaków, bez żadnych utrudnień i ograniczeń, zabezpieczając na ten cel kryte wagony kolejowe. I oto rozpoczął się masowy exodus ludności polskiej. Przede wszystkim wyjeżdżały rodziny, mające krewnych w zachodnich województwach GG, ale również coraz więcej rodzin wyjeżdżało po prostu w nieznaną.

My mieliśmy gdzie jechać. W Kępnie posiadaliśmy własny dom, a w okolicy liczną rodzinę ojca. Oczywiście nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje, niektórzy byli wysiedleni ze swej ziemi; Jednakże ten cel podróży nie wchodził w rachubę, gdyż do Reichu Polakom nie wolno było jechać.

Rodzice zdecydowali się jednakże wyjechać. Wpierw, w połowie maja, pojechała siostra, zabierając się ze znajomymi, którzy udawali się do krewnych w Jordanowie. Na początku czerwca wyjechaliśmy w trójkę (rodzice ze mną). Otrzymaliśmy jeden kryty wagon towarowy dla nas i sąsiadów pp. Skrzypków, dwuosobowej rodziny. Pochowali oni niedawno swego 10-letniego syna, który pasąc kozę, zginął od wybuchu miny.

Mogliśmy zabrać wszelkie rzeczy bez szczególnych ograniczeń, nawet meble i zwierzęta domowe. Tak więc prócz ubioru, pościeli, sprzętu kuchennego zabraliśmy również stół, krzesła, łóżka składane, rower i kozę. Jednakże większość mebli i krowa pozostały.

Przed wyjazdem zakopaliśmy nocą, w środku ogródka broń: dużą skrzynię ciężkich granatów obronnych i 4 karabiny, które dokładnie naoliwiłem i owinąłem w również naoliwione szmaty. Naboje karabinowe powtykałem do kilkunastu butelek, a po szczelnym ich zakorkowaniu powbijąłem w muł denną potokiem dnem do góry.

Na podróż mama uśmierciła prawie wszystkie nasze kury i posmażyła je, upiekła też kilka bochenków chleba. Zabraliśmy także sporo innych produktów. Oczywiście również trochę słoniny i siana, na wymoszczenie legowiska w wagonie.

## Ostatni front w Jordanowie

Na stryszku \* Obrazy i rzeźby \* Front ruszył \* Konwój jeńców

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Nie wiedzieliśmy, przez jakie stacje przejeżdżamy, gdyż wagon nie miał żadnych okienek. Mieliśmy sporo miejsca, wygodne legowiska, ale nic do roboty, więc spaliśmy wszyscy jak najwięcej. W pewnym momencie pobudziliśmy się, bo od dłuższego już czasu ustał miarowy stukot kół i nastała całkowita cisza. Otworzyliśmy wrota wagonu. Było więcej torów kolejowych, czyli staliśmy na jakiejś stacji, lecz nie było widać żadnych świateł. O świcie mama i nasza była sąsiadka wybrały się na rekonesans.

Wróciły po niedługim czasie, oświadczając, że wysiadamy, gdyż jesteśmy już w Jordanowie, w podgórskiej miejscowości na południe od Krakowa. Z mgły porannej wylaniały się po obu stronach torów kontury zielonego, soczystego lasu, a nieco dalej niepozorny budynek stacyjny, jakiś nieduży tartak i nic więcej. Było świeże, rześkie powietrze. Wyładowaliśmy się szybko i sprawnie na pobocze.

I znów nasze panie poszły gdzieś w stronę miasteczka. Czekaliśmy wiele godzin na ich powrót. Gdy wróciły, zarządziły przeniesienie wszystkich naszych rzeczy do nieodległej leśniczówki, samotnie sterczącej między polami i lasami. Bagaże przenieśliśmy na raty, urządzając po drodze przystanki, bo droga wiodła pod górkę i mocno się natrudziliśmy. W leśniczówce zamieszkiwało już kilka rodzin, które wcześniej skądś przyjechały podobnie jak my. Było bardzo ciasno, spaliśmy w nocy pokotem, głowa przy głowie.

Jednak już na drugi dzień przeprowadziliśmy się do miasta na stałą kwaterę. Znów trzeba było taszczyć nasze bagaże. Znaczna część tych prac tragarzskich należała do mnie. Byłem zdrowy, silny, wytrzymały na wszelkie trudy i wykonywałem ochoczo wszystkie polecenia rodziców. Zamieszkaliśmy w trójkę w parterowej drewnianej przybudówce przy nieczynnej, zdewastowanej, starej garbarni. Przybudówka, z dwuspadowym dachem pokrytym dachówką oraz z małą piwniczką, miała cztery pomieszczenia mieszkalne. Dwie izby od strony podwórka zajęte były, od dłuższego czasu, przez młode małżeństwo z jednoroczną córeczką.

Nasze lokum wymagało trochę drobnych reperacji, posprzątania i wyszorowania drewnianych podłóg. Z wszystkim tym uwinęliśmy się w krótkim czasie, rozłożyliśmy nasze rzeczy i znów mieliśmy gdzie mieszkać. Wtedy dołączyła do nas, przybyła wcześniej do Jordanowa, moja siostra. Pracowała i mieszkała przez kilka tygodni w firmie budowlanej w nieodległej Chabówce.

Za to wyjechał ojciec z powrotem do Monasterzysk, gdyż zobowiązywał go do tego rozkaz AK, miał tam bowiem swe organizacyjne obowiązki. Drugim powodem powrotu była oczywista chęć pilnowania domu i ziemi.

Mama, zaraz po przyjeździe, zameldowała swój pobyt w odpowiednim urzędzie w Jordanowie. Ja nie meldowałem się, przez wiele miesięcy miałem się ukrywać w nowym miejscu zamieszkania. Oczywiście powód był bardzo prozaiczny. Wielka Rzesza powoływała do swojego „niezwycięzonego” Wehrmachtu coraz młodsze oraz zupełnie już stare roczniki swych aryjskich obywateli. Więc coraz bardziej brakowało w Niemczech rąk do pracy. Toteż dobrowolnie bądź przymusem ściągano ze wszystkich podbitych państw tzw. siłę roboczą do prac w rolnictwie i przemyśle niemieckim. Ja, przy swoich prawie 18 latach, nadawałem się już, jak najbardziej, na taką siłę roboczą.

Domek, w którym mieszkaliśmy, stał samotnie w zakolu serpentyny szosy, wychodzącej z miasteczka w kierunku zachodnim. Tuż obok znajdował się głęboki, zadrzewiony jar, którym płynął mały potok. Z drugiej strony było trochę starych drzew i pola uprawne. Do pierwszej zabudowanej uliczki i centrum miasta, to jest dużego, zadbanego rynku, było od naszej garbarni raptem około 400 metrów.

Mama prowadziła dom, gotowała posiłki, szyla, pomagała też naszej sąsiadce w wykańczaniu fartuszków, które ona szyla na sprzedaż. Siostra zaś robiła śliczne swetry z kolorowej włóczki. Przez pewien czas pracowała również jako opiekunka do dziecka przy pewnej rodzinie. W ten sposób zarabiała pieniądze potrzebne nam na chleb i inne podstawowe produkty.

Ja codziennie rano udawałem się wózkiem do gospodarstwa rolnego w pobliskim przysiółku, skąd przynosiłem bańkę świeżego mleka z porannego udoju. Kozę mama sprzedawała zaraz po przyjeździe do Jordanowa. Zakupiliśmy natomiast młodego barana. Nie trzeba go było wypasać, trzymaliśmy go

w zrujnowanym betonowym basenie do garbowania skór i tam mu donosiłem świeżą trawę, którą ścinałem sierpem na zboczach sąsiedniego jaru.

Na początku zimy ten gospodarz, do którego chodziłem po mleko, zabił naszego tłustego barana i ściągnął z niego skórę na kozuch, dopłacając nam za nią sporo. Mięso mama zapiekowała w kilku wiaderkach. Były potem smakowite pieczenie i szaszłyki przez całą zimę.

Do mnie należało jeszcze zbieranie gałęzi w lasku, rąbanie drewna na opał oraz przynoszenie wody z pompy, która była na podwórzu. Poza tym całymi dniami przebywałem samotnie w niedużym pokoiku na poddaszu. Tam miałem swe posłanie, czytałem książki, uczyłem się i dużo rysowałem, malowałem obrazy i rzeźbiłem figurki w gipsie.

Nasz współlokator p. Cwiertnia był zawodowym malarzem. Zajmował się renowacją starych malowideł oraz malował nowe obrazy w kościołach w całym regionie Podhala. Był bez jednego oka, stracił je w młodości w wypadku spowodowanym przez swego brata, który niechcący strzelił z dubeltówki. Nauczyłem się od niego profesjonalnego przygotowywania blejtramów na obrazy olejne, stosowania różnych rozpuszczalników, używania werniksu do zabezpieczania malowideł przed wpływami atmosferycznymi itp.

Nauczyłem się też wtedy malowania farbami na szkło. Jest to znacznie trudniejsze od malowania na płótnie, gdyż nie można nakładać farby na siebie i korygować w ten sposób malowidła niejako na bieżąco. Radziłem sobie w ten sposób, że stosowałem technikę witrażową. Oznaczałem na szkło kontury obrazu, potem zakreślone płaszczyzny zamalowywałem odpowiednimi kolorami farb.

Po raz pierwszy też rzeźbiłem w gipsie, pomagając przy wykonywaniu figurek do dużej szopki świątecznej do jakiegoś kościoła. Robiliśmy odlewy z gipsu alabastrowego o gabarytach zbliżonych do kształtu figurek, potem rzeźbiło się je dłutem lub pincetą, gruntoowało białą farbą podkładową i wreszcie malowało farbami olejnymi. Rzeźby robiliśmy najczęściej na podstawie fotografii albo rysunku danej postaci. Trzeba było mieć do tego sporo wyobraźni. Wykonywałem też różne figurki na własny użytek. Zdobiły one później mieszkanie mych rodziców.

Najwięcej czasu poświęcałem jednakże rysunkom ołówkowym. Wykonałem ich wówczas kilkadziesiąt sztuk, przeważnie niedużych rozmiarów, formatu A-4. Obrazki te rysowałem jako kilkakrotnie powiększenia ilustracji z książek znajdujących na stryżku. Między innymi powiększyłem około 30 ilustracji poematu J. W. Goethego „Herman und Dorothea”. Przeczytałem też, można powiedzieć przy okazji, kilka rozdziałów tej pięknej książki, napisanej oczywiście w języku niemieckim, a nawet nauczyłem się na pamięć dwóch stron poematu. Sporo też uczyłem się w tej mojej samotni i powtarzałem programy z posiadanych podręczników.

Nasi współlokatorzy nauczyli nas gry w brydża. Razem było nas 5 dorosłych osób, więc bardzo często wieczorami grywalismy w różnych konstelacjach w karty, rozgrywając po kilka robów. Specjalnie na brydża chodziliśmy też niekiedy do krewnych naszych sąsiadów. Szło się polami, bocznymi ścieżkami, ja zawsze na końcu, pilnie bacząc, czy nie ma w zasięgu wzroku policji lub wojska.

U tych znajomych odbywały się czasami dyskusje polityczne. Mogłem domyślić się, że zwłaszcza jeden z domowników był znaczącą postacią w lokalnej konspiracji AK. Z rozmów wyraźnie wynikało, że Armia Krajowa hołduje teorii dwóch wrogów Polski, którymi w równym stopniu są Niemcy i Rosja.

Dużym wydarzeniem był widok amerykańskich samolotów we wrześniu 1944 nad Jordanowem, lecących na pomoc walczącej Warszawie. Setki wielkich srebrzystych samolotów przeleciało wówczas wolno, na dużej wysokości, z jednostajnym loskotem.

W okresie lata i jesieni 1944 szale wojny wyraźnie przechyliły się na stronę koalicji państw walczących z państwami Osi. W dniu 6 czerwca dokonana została długo zapowiadana inwazja amerykańsko-angielska na plażach Normandii we Francji. W jej wyniku do końca sierpnia została osobodzona spod niemieckiej okupacji cała Francja. Jesienią działania zbrojne na Zachodzie przeniesione zostały do Belgii i Holandii, na południu Sprzymierzeni opanowali całe środkowe Włochy.

W tym okresie Rosjanie przeprowadzili na froncie wschodnim kilka wielkich uderzeń, które przesunęły linie frontów o setki kilometrów na zachód.

Całkowitym zaskoczeniem dla Niemców była ofensywa rozpoczęta 20 sierpnia na kierunku bałkańskim. Zaowocowała opanowaniem przez Rosjan w ciągu kilku tygodni Rumunii i Bułgarii, których nowe rządy wypowiedziały wojnę III Rzeszy. Od tego czasu Niemcom pozostał w Europie już tylko jeden sojusznik, Węgry.

Na tym tle absolutną tragedią było zbrojne powstanie w Warszawie, które wybuchło przeciwko Niemcom 1 sierpnia z rozkazu dowództwa Armii Krajowej. Powstanie upadło po dwóch miesiącach krwawych walk, podczas których zginęło bez mała 250 tysięcy mieszkańców naszej stolicy, a lewobrzeżna Warszawa decyzją Hitlera została prawie doszczętnie zniszczona.

W Jordanowie tymczasem nic szczególnego się nie działo. My też nie byliśmy niepokojeni przez jakieś rewizje czy pisma urzędowe. W ogóle spokojnie było w całym regionie. Z perspektywy czasu można to wytłumaczyć liberalnym stosunkiem władz niemieckich do ludności Podhala. Niemcy starali się wmówić góralom, że nie są Polakami, lecz stanowią odrębny naród Gorallenvolk. Poza tym ten

region, o słabym rolnictwie i bez przemysłu, nie przedstawiał większej wartości pod względem gospodarczym. Niemców interesowało jedynie wykorzystanie górskich kurortów na wypoczynek dla swych rannych i utrudzonych rzemiosłem wojennym żołnierzy.

Sytuacja zmieniła się znacznie w zimie 1944/45, kiedy na tereny Podhala przeniknęła i rozwinęła się partyzantka antyfaszystowska, gdy front wschodni był już na linii Wisłoki i Wisły. Wówczas pojawiło się wojsko niemieckie, zwalczające oddziały partyzanckie. Doszło do szeregu krwawych pacyfikacji górskich wiosek, w wyniku czego ucierpiała znacznie miejscowa ludność. Najbliższa taka pacyfikacja miała miejsce we wsi Osielec, odległej około 10 kilometrów od Jordanowa, gdzie czołgami miażdżono schwytych partyzantów.

W dniach 12-13 stycznia 1945 ruszył wreszcie front znad Wisły. Rosjanie już 18 stycznia wyzwolili Kraków, zaraz po tym cały Górny Śląsk, ale na Podhalu dalej było spokojnie i cicho. Dopiero w pierwszych dniach lutego przeżyliśmy bardzo łagodne przejście piątego już frontu wojennego.

Odbyło się to wczesną nocą, gdy my w trójkę, wraz z naszymi współlokatorami, przebywaliśmy w solidnej piwnicy domu znajomych na niedalekiej ulicy. Opuściliśmy nasz domek przy garbarni z powodu podminowania przez wojsko znajdującego się tuż obok solidnego kamiennego mostu drogowego. Wszystkie rzeczy, wraz z kwaterami okiennymi, schowaliśmy w małej piwniczce. Ten most faktycznie został wieczorem wysadzony w powietrze.

Wcześniej miał miejsce nalot kilku radzieckich samolotów szturmowych na samochody i oddziały Niemców na rynku. Jak potem mówiono, od bomb zginął wówczas cały ewakuujący się sztab dywizji niemieckiej. Potem słyszeliśmy warkot samochodów i tupot uciekających ulicą żołnierzy. Niedługo potem przed wejściem do piwnicy stanął młody żołnierz rosyjski z pepeszą i zapytaniem: „Germańców niet?”. Odpowiedzieliśmy, że nie ma, wskazując kierunek, w którym uciekli. Mama od razu zagadła po rosyjsku, ktoś podał garnuszek z mlekiem, ktoś inny podsował mu jakąś kanapkę. Wojak wypił mleko jednym haustem, wytarł usta rękawem kozuska, powiedział „niet” kanapce i pobiegł za swymi towarzyszami broni. W ten nieskomplikowany sposób skończyła się właściwie dla mojej rodziny II wojna światowa.

Nazajutrz wróciliśmy do swego mieszkania. Drewniany budynek był cały, ale wyraźnie przechylił się w kierunku przeciwnym od mostu. Wszystkie dachówki wybuch zdmuchnął z dachu na poddasze i na podwórko.

Obok uszkodzonego kamiennego mostu, głęboko w jarze, grupa żołnierzy i cywili układała na potoku prowizoryczny mostek z drewnianych bali i wyrównywała oraz umacniała pniakami drzew zjazdy z obu stron. Przy samym moście też już wykonywano jakieś prace, ale to było o wiele poważniejsze przedsięwzięcie. Wkrótce kierujący robotami oficer zagarnął mnie również do układania umocnień na prowizorycznych dojazdach. Niewiele się przy tym napracowałem, bo mama wyperswadowała wojskowemu, że mam zreperować dach nad naszym mieszkaniem. Dał się przekonać i zabrałem się do naszego remontu.

Najpierw powyciągałem kwatery okienne z piwniczki i zawiesiłem w futrynach okiennych. Ani jedna szyba nie była stłuczona. Następnie w pojedynkę zabrałem się do dachu. Segregowałem na podwórku całe dachówki, składałem je w małe słupki, po drabinie wnosiłem na poddasze i potem, warstwa za warstwą, układałem na dachu. Na wieczór dach był już cały, a ja zmęczony, ale zadowolony z wykonania sporej, acz niezbędnej roboty.

Mama z siostrą w tym czasie uprzątnęły mieszkanie, rozpakowały rzeczy z waliz oraz koszy i znów mieszkaliśmy w przyzwoitych warunkach. Kolację zjedliśmy, goszcząc tego oficera od budowy mostu.

Z góry, z dachu obserwowałem szybki postęp przy budowie prowizorycznej przeprawy i stałego mostu oraz przejazd kolumny czołgów. Była dramatyczna chwila, gdy ciężki czołg zsunął się do jaru, a drugi wyciągał go potem za pomocą stalowych lin.

Za dzień, dwa front utknął za Suchą Beskidzką. Kolejnej nocy zbudził nas tupot wojska, które maszerowało spiesznie kolumnami na całej szerokości drogi, w kierunku zachodnim. Domyśliliśmy się, że będzie wkrótce podjęta nowa ofensywa. Rzeczywiście, nazajutrz rozpętała się od strony Suchej armatnia kanonada, trwająca przez wiele godzin.

Już na następny dzień zobaczyliśmy idącą w naszym kierunku kolumnę kilkuset niemieckich jeńców, konwojowanych po bokach przez czerwonoarmistów. Jeńcy sprawiali bardzo nędzne wrażenie. Gdy skręcali przed naszym domem, mama ze schodów wejściowych zaczęła im rzucać kromki chleba, wcześniej szybko pokrajanego. Wielu z nich rzuciło się z wyciągniętymi rękoma w naszym kierunku. Zrobiło się spore zamieszanie i jeden z konwojentów oddał z automatu serię w powietrze. Mama krzyknęła wtedy: „Eto tożę ludi” i coś tam jeszcze do rosyjskich żołnierzy. Pojawił się oficer, Narwi-doczniej dowodzący konwojem, i wydał rozkaz postoju.

Jeńcy obsiedli chmarą dużą skarpe przydrożną za garbarnią. Ja zacząłem przynosić im z podwórka, gdzie była pompa, wiadra z wodą, którą rozlewałem do podstawionych manierek i garnuszków. Pili zachłannie, coś tam przegryzając ze swych zapasów z chlebaków i zawiniątek. Natomiast czterej konwojenci zasiadli wokół stołu w kuchni i zajadali ze smakiem nasz obiad, jaki im mama serwowała,

rozmawiali też ochoczo z nią po rosyjsku. Zrewanżowali się potem kilkoma amerykańskimi konserwami mięsnymi.

W tym czasie mama ugotowała całe wiadro ziemniaków w łupinkach. Zaraz zaniósłem je jeńcom niemieckim, którzy prześcigali się w podziękowaniach, pałaszując gorące kartofle razem z łupinami. Po przeszło godzinnym wypoczynku całe towarzystwo zebrało się i poszło dalej.

Front oddalił się aż do Żywca. Ja dopiero wtedy, po raz pierwszy, przeszedłem się po Jordanowie, zwiedzając to sympatyczne miasteczko. Szybko znikwały niemieckie szyldy i napisy, w ich miejsce instalowano tylko polskojęzyczne nad sklepikami i nowo powstającymi urzędami. Skorzystaliśmy też niezwłocznie z możliwości otrzymania po 500 nowych polskich złotych na osobę po okazaniu niemieckiej kenkarty. W zamian wycinano z niej pieczęć z hitlerowskim orłem.

Zaczęliśmy się także wówczas przygotowywać do wyjazdu na swoje „śmieci” do Kępna w Poznańskim. Wpierw, jeszcze w lutym, wyjechała na rekonesans moja siostra. Stwierdziła, że nasz dom w Kępnie jest cały, odwiedziła rodzinę ojca w Kuźnicy Bobrowskiej i po wielu perypetiach wróciła do Jordanowa.

Po spakowaniu się, załatwieniu odpowiednich formalności i sprzedaniu pewnych rzeczy pojechaliśmy wynajętą furmanką do Krakowa. Stamtąd zaś najbliższym pociągiem towarowym do Katowic. Jechaliśmy otwartym wagonem na stercie stalowych rur. Za kilka godzin byliśmy w Katowicach, tam nastąpiła przesiadka do pociągu w kierunku Kępna. Musieliśmy przejść kilkoma ulicami przez miasto z dworca towarowego na osobowy. Był słoneczny, ciepły dzień. Spocilem się i umęczyłem bardzo, taszcząc kilka waliz, tobołów i rower na dodatek. Ulice wydawały mi się puste, żadnych gapiów w oknach, najwidoczniej wszyscy mieszkańcy byli w pracy. Minęła nas też długa kolumna studentów amerykańskich, wiozących zaopatrzenie wojskowe na front.

Do Kępna dojechaliśmy wieczorem po prawie całodziennej podróży.

## Powiatowe Kępno

Własny dom \* Ojciec repatriantem \* Czwarta gimnazjalna

Kępno to 20-tysięczne miasto w południowej części województwa poznańskiego. Schludne, zadbane, z dużym tartakiem, dwoma cegielniami i krzyżującym się dwupoziomowo węzłem kolejowym.

W czasie wojny miasto nie doznało prawie żadnych zniszczeń. Nasz dom był cały, jak i cała była ulica Poznańska, przy której się znajdował.

Dom mieścił trzy mieszkania, dwa na parterze i jedno mniejsze na piętrze. Wszystkie były zajęte przez sublokatorów. Zamieszkaliśmy tymczasowo u jednego z nich w 2-pokojowym mieszkaniu na parterze. Drugą rodzinę na piętrze poprosiliśmy o opróżnienie zajmowanego przez nich 3-izbowego mieszkania/Oczywiście wymagało to czasu.

Niezwłocznie zorientowaliśmy się w mieście o możliwościach dalszego kontynuowania nauki przez siostrę i przeze mnie. Otóż w tym czasie, w końcu marca 1945, w Kępnie funkcjonowało już 4-klasowe gimnazjum, istniejące jeszcze przed wojną. Mieściło się w okazałym dwupiętrowym budynku, usytuowanym niedaleko rynku, w drugiej części miasta. Miałem więc możliwość kontynuowania nauki. Zgłosiłem się bez zwłoki i po krótkich sprawdzających egzaminach wstępnych zostałem uczniem ostatniej czwartej klasy gimnazjalnej.

Gimnazjum czynne było już od około miesiąca, uruchomione więc zostało w bardzo krótkim czasie kilku tygodni po zajęciu miasta w styczniowej ofensywie przez Armię Czerwoną i przywróceniu polskiej władzy. Była pełna, wspaniała, kompetentna obsada profesorska. Klasa była oczywiście koedukacyjna, liczyła 36 uczniów, w tym jednakże tylko 8 dziewcząt. Byłem jednym z najmłodszych w klasie.

Pewne kłopoty sprawiały mi niektóre przedmioty, co było związane z przerwą w systematycznym przerabianiu materiału według obowiązującego programu. Oczywiście starałem się usilnie, aby braki te jak najszybciej nadrobić. Nowym zupełnie przedmiotem była dla mnie łacina.

Po dwóch tygodniach mieszkaliśmy w 3-izbowym mieszkaniu we własnym domu i matka oraz siostra zabrały się do jego urządzania. Nie mieliśmy wtedy absolutnie żadnych mebli. Siostra zaczęła też pracę zarobkową w prywatnej firmie budowlanej w Kępnie w charakterze księgowej.

Zagrożenie wojenne już dla nas nie istniało. Ale to, że wojna jeszcze trwała, przypominała nam prawie co noc rozległa luna, jaką oglądaliśmy na zachód od Kępna. To palił się Wrocław, broniony przez Niemców, wbrew wszelkiej logice, jeszcze przez cały kwiecień. Otoczone i bombardowane we dnie i nocie wielkie, prawie milionowe miasto zmieniało się powoli w pogorzelnisko i stertę gruzów. Garnizon niemiecki poddał się dopiero 6 maja, a więc trzy dni przed kapitulacją Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej.

W kwietniu wrócił ojciec z Kresów Wschodnich. Przyjechał jako repatriant, w ramach organizowanych przez rząd Polski Ludowej akcji przesiedleńczych Polaków, zamieszkujących tereny za Bugiem przyłączone do ZSRR. Większość repatriantów przesiedlano na nowo odzyskane Ziemi

---

Zachodnie, ale ojciec, oczywiście, przyjechał do nas, do Kępna. Powrócił do miejsca, skąd pochodził, do swej rodziny, do swego domu, zakupionego zresztą tuż przed wojną. Byliśmy znowu razem.

Był zabiedzony, miał zarost jak Mojżesz, niewielki bagaż, a także wszelkie papiery repatriacyjne, w tym pokwitowanie za pozostawiony dom i ziemię. Krowę i niektóre rzeczy sprzedał, innych pozbył się bez większego żalu i sentymentu. Już nazajutrz po przyjeździe zgolił zarost swą ulubioną wyszczerbioną brzytwą, pamiętającą czasy panowania Wilhelma II. Po niedługim czasie rozpoczął pracę na stanowisku kasjera w Urzędzie Miejskim miasta Kępna. Oczywiście o kontynuowaniu swej przedwojennej profesji nie mógł nawet marzyć. Bo, po pierwsze, granica odsunęła się o ponad 200 kilometrów na zachód, a po drugie, instytucja Straży Granicznej w ogóle nie została reaktywowana.

Rodzice zajęli się też pilnie uprawą niedużego ogródka warzywnego oraz 0,4-hektarowego pasa ziemi ornej, ciągnącego się za działką domu. Na podwórku był jeszcze budynek gospodarczy, który mieścił stodołę, chlewnię i kurnik. W związku z tym rodzice zainteresowali się również hodowlą świnek i kur. Po pewnym czasie ojciec hodował także, z zamiłowaniem, króliki i gołębie. Tak wyglądała nowa, już trwała, powojenna stabilizacja moich rodziców. Można powiedzieć, że zakupując w 1938 dom w Kępnie, przesądzili w ten sposób o swej egzystencji po wojnie do końca swego życia.

Pewnego słonecznego majowego dnia zaskoczyła nas palba karabinowa, dochodząca z miasta. Za chwilę znaleźmy jej przyczynę: zakończyła się II wojna światowa w Europie. Nareszcie!